

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

Sesja na gdańskiej WSP

Cieplarnia nie zastąpi kuźni

Wysiadłem z pociągu szczerze stroskany. Bo gdzie szukać studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej w „gorących” dniach, tuż tuż przed sesją? Przecież wykładów już nie ma. Tak rozmyślając o mało nie wszedłem w sam środek kilkunastoosobowej grupki szkolniaków.

— Na górki nie ma co iść. Tam teraz pod każdym krzakiem leży kilku studentów — odezwał się jeden z nich.

W ten sposób umawiający się na wycieczkę (a może wagar?) mały pomógł mi zorientować się w terenie. Górki to popularna nazwa wzgórz otaczających całe badające trójmiasto. Jak się później okazało, są one gęsto porośnięte krzewami i stanowią ulubione przez gdańskich studentów miejsce do nauki, zwłaszcza w okresie sesji.

Koc zwinięty pod pachą, wystające z kieszeni notatki i sterścące zza koszuli skrypty nie pozwalają mieć wątpliwości: to na pewno student idzie na górki „obkuwać”. Po dążyłem za nim nie bardzo wierząc, by obcowanie z przyrodą sprzyjało nauce. Ale po spędzeniu kilku godzin (dla zamaskowania swego incognito — z książką w ręku) na górkach przekonałem się, że chłop-

JERZY AMBROZIEWICZ

cy, rozłożeni wygodnie na kocach, uczą się na zabój.

Gdyby drzewa miały właściwość zapamiętywania zasłyszanych od studentów wyrazów, to niejedno z nich mogłoby zdawać egzaminy w gdańskiej WSP. Przy okazji nauczyłoby się co prawda „wyrządzać” — niejedną naukową termin przelataną jest nienaukową „laci-ną”. Tak bywa, gdy się jeszcze czegoś tam nie umie, a egzamin zga-

Wśród „zakuwających” trudno rozpoznać studentów WSP. Gdy za-pytałem jednego z nich o przyna-leżność uczelnianą — odpowiedział, żeby nie przeszkadzać i że wszel-kich informacji udzieli dopiero wie-czorem. Nie było się za co obra-żać: studencki czas jest w tym okre-sie naprawdę cenny.

Trzeba było czekać do wieczora. Do tego czasu można jeszcze za-sięgnąć języka na samej uczelni. Pierwszą osobą, którą każdy musi spotkać w WSP, jest portier. O nie, nie wpuści on nikogo, jeśli nie wy-legitymuje się bamboszami. Dla go-ści zrobił jednak wyjątek.

W czytelni dyżurowała właśnie studentka I roku, Kazimiera Dur-bajło. Poza nią na sali nie było ni-kogo.

— Większość woli uczyć się na trawce — powiedziała nam na przy-witanie. — Korzystam więc z tego i konspektuję lekturę. Za kilka dni pierwsze egzaminy.

— A kolokwia? — przerwałem. — Te mam już poza sobą. Nie były one co prawda najłatwiejsze, ale nasza sekcja historii pozdawa-ła je znakomicie, prawie same czwórki i piątki. O dwojce na razie u nas nie słychać — przy tych słowach oboje odpukaliśmy w niema-lowany spód biurka.

— Czemu zawdzięczamy te wyni-ki? — namiętnie się chwilkę. — O sesji mówiło się u nas już od marca i nie tylko mówiło, ale przygo-towywaliśmy się do niej rzetel-nie. Na razie jedynie z pracy pi-sennej z geografii mam trójkę. — Przy tych słowach lekko zarumie-niła się. Widocznie ambicje są więk-sze.

W chwilę później rozmawiałem na tematy sesyjne z dziekanem wydziału humanistycznego, prof. Zacz-kiem.

— Niegorsze od historii spisuje się filologia polska — powiedział dziekan i dla poparcia swojej tezy podsunął mi listę z wynikami ostat-nich kolokwiiów. — Dominują tu oce-ny celujące i jak dotąd na całym wydziale nie ma ani jednego po-tnięcia.

Start do sesji wypadł więc zna-komicie. Sama sesja nie powinna obfitować w przykre niespodzianki, bo studenci pracują na ogół rzetel-nie. Utwierdził się w tym prze-konaniu po odwiedzeniu „akade-mika”.

Już z daleka można było dokła-dnie rozpoznać siedzących przy ok-nach, obnażonych do pasa studentów. W pokojach, gdzie mieszkają przyszli pedagodzy, porządek nie jest wzorowy. Ale znajdujące się

(Dokończenie na str. 5)



Wśród lasów i łagodnych wzgórz mazurskich rozłożyło się „tysiąc” malowniczych jezior. Urok wspaniałych krajo-brazów, przesycone aromatem żywicy powietrze, a nade wszystko woda tych bajecznych jezior oto czynnik, które pozwalają nie tylko wypocząć, ale przede wszystkim dostarczają niezliczonych wrażeń pozostających w pamięci na całe życie.

Foto K. Holeska

O wczasach czytaj na str. 7.

jajo TROGŁODYTÓW

Wzdłuż białej linii pod-skakują naprzeciw siebie dwa szeregi barbarzyńców w ol-brzymich, stalowych hełmach na głowach.

Nagle rozlega się gwizd. Z dzikim wrzaskiem (z jakim zapewne ja-skińsi praludzie rozłupywali kamiennymi toporkami głowy swych wrogów) pancerne szeregi rzucają się na siebie: pękają łama-ne kości, głucho łomocą stalowe hełmy, podkute buty miażdżą ręce i nogi przeciwników. I znów rozle-ga się przeraźliwy gwizd. 21 opan-cerzonych robotów prostuje ramio-na, dwudziesty drugi leży bez ży-cia na ziemi. — O'key — krzyczy człowiek z gwizdkiem. — Wszystko w porządku. A Jima zabierzcie z pola, niech się nim zajmie chirurg.

Scena powyższa miała miejsce nie w czasie nakręcania najnow-szego filmu amerykańskiego o na-jężdzie Marsjan na Ziemi, lecz na stadionie czcigodnego uniwersytetu katolickiego „Notre Dame”. To sa-

mo dzieje się od kilku miesięcy na boiskach szkół, uniwersytetów i klubów sportowych we wszystkich stanach USA. Bowiern od marca trwa sezon najbardziej masowego w Stanach Zjednoczonych „sportu” noszącego nazwę „American Foot-ball”. — amerykańskiej piłki noż-nej.

MIĘŚNIE SĄ WAŻNIEJSZE OD MÓZGU

American Football ma z europejską piłką nożną akurat tyle wspól-nego, co ta ostatnia z ping-pon-giem czy grą w szachy. Ten dziki „sport”, którego dewiza jest „Brain over Brain” — mięśnie są ważniejsze od mózgu — stanowi najbardziej masowy, narodo-wo niemal sport w całych Stanach Zjednoczonych. W roku ubiegłym rozgrywkom 117 uniwersyteckich drużyn „piłki nożnej” przyglądało się 13 milionów widzów, nie licząc dalszych milionów, które oglądały barbarzyńskie walki na ekranach

aparatów telewizyjnych. Rozgrywki te przyniosły amerykańskim wyż-szym uczelniom ponad 50 milionów dolarów czystego zysku. A poza tym istnieje w USA przeszło 3500 drużyn piłkarskich w szkołach śred-nich oraz niezliczona ilość zespo-łów zawodowych, zrzeszonych w dwóch ligach ogólnokrajowych. Popu-larność „piłki nożnej” przewyż-sza w Ameryce wielokrotnie popu-larność baseballu czy rugby.

Pierwszą wiadomość o nowej ga-łęzi sportu — piłce nożnej — przy-wieźli z Europy do Stanów Zjed-noczonych około roku 1860 studen-ci uniwersytetów Harvard i Yale. Od pierwszej jednak chwili studen-ci amerykańscy odznali się wielkimi „niepotrzebnymi” przepisami sportowe, przekształcając szlachetną grę w dziką bójkę. Gdy w roku 1869 do-szło do pierwszej rozgrywki mię-dzyuczelnianej drużyn uniwersyte-tów Princeton i Rutgers, z „pola walki” zniesiono siedmiu graczy z połamany kończynami.

DO CZEGO SŁUŻY GŁOWA

„Amerykańska piłka nożna jest nie tylko najbardziej brutalnym rodzajem sportu jaki znam — pisze katolicki literat i publicysta angielski Graham Green. — Jest to zjawisko bardziej amerykańskie niż Empire State Building (najwyższy gmach w Nowym Jorku — przyp. J. S.) czy kowbojski film. To praw-dziwa kopalnia złota dla socjolo-ga”.

Amerykańską piłkę nożną nie można traktować tylko jako wynaturzony, brutalny rodzaj sportu, stanowi ona bowiem specyficzne za-gadnienie społeczne, obrazujące ce-le amerykańskiej polityki wycho-wania. „Gdyby nie piłka nożna — przynajmniej Earle Blaik — trener drużyny najwyższej uczelni wojskowej w USA, akademii West Point — młodzież amerykańska nie byłaby przygotowana do wielkiego zadania rządzenia światem”.

O tym zaś, jak wyglądają ci „a-merykańscy zdobywcy świata” mó-wi niezmiennie charakterystyczna scena z satyrycznego rysunku ame-rykańskiego humorysty Al Cappa. Rysunek pokazuje niezmiennie bru-

(Dokończenie na str. 2)

SESJA wiosna

Sesja i wiosna — pozornie dwa zwalczające się zjawiska. Trzeba uczynić naukowy rachunek sumienia, a wiosna ciągnie na ulicę, nad Wisłę, do parku. Studenci, podlegając jak najbardziej wiosennym pokusom, z sesją też dają sobie radę. Przecież była już niejedna wiosna i niejedna sesja, a jednak sta-tystyki stwierdzają, że Polska Ludowa ma coraz więcej i coraz lepszych fa-chowców. Zresztą przyjrzyjmy się z bliska obu tym zjawiskom w bieżącym roku. Zabierzmy z sobą fotoreportera.



Aha! Nareszcie sytuacja sprowokowana przez wiosnę. Dwoje młodych ludzi szukających samotności usadowiło się w kącie parku na ławeczce pozostawio-nej przez ogrodnika. Chybaż dźwięk przez zasłonięte. Rozmowa głos dziewczyny czytającej notatki wprowadza nas z błędem. To Joanna i Sławek z I. HKM w tak atrakcyjnym miejscu przygotowują się do egzaminu z historii starożytnej Grecji.



Na ulicy gwarno. Ruch. Dużo nowych pozycji beletrystycz-nych, które pojawiły się na rynku księgarskim z okazji Dni Osiaty. Książki i Prasy. Stolska uliczka szczelnie obli-żona przez kupujących. Wszędzie widzimy studentów. Miło jest szperać w pięk-nych wydawnictwach, zwłaszcza że można znaleźć książki, wa-gące przydać się do egzaminu. Dwie polonistki Hanka i Ela wraz z miłą masyścią Asią zgodnie wywracają do „góry nogami” stolsko, nie dając spokoju sprzedającym. Życzymy owocnych poszukiwań.



— Przystań bębnić na tym rozklekotanym pianinie, lepiej powiedz jak zaliczyłeś literaturę. — Daj mi spokój — rzuca zdenerwowany Marek próbując po raz trzeci ten sam pasaż — zaliczyłem. — Zaliczyłem, zaliczyłem... — przedrzeźnia zdenerwowa-nego koleżanę — ile dostajesz? — Odczep się — piątkę dostałem — Marek śmieje się. Tylko teraz mi nie przeszkadza, bo wieczorem nasz zespół ma występ, więc muszę poćwiczyć. Nic się nie bój, zdasz i ty. Przecież się uczyleś.



Tu z pewnością nie ma czasu na przygotowanie do sesji. Chyba w krótkiej przerwie między pierwszą, a drugą częścią programu Studenckiego Teatru Satyrycznego. Widownia wy-pelniona młodzieżą studencką. Trzeba popierać własny teatr. Własny, bo oglądają student i występują student. Bez względu na sesję przedstawienia idą coraz lepiej przy pełnej widowni.



Nie. Zdać egzamin z ekonomii, to wcale nie najtrudniej-sza rzecz, jak widać na załączonym zdjęciu. Dla Adama Do-linskiego dużo trudniejszy jest wale. Chociaż partnerka śmieje się wdłużając, to jednak w zmrużonych oczach czai się lek o podeptane nogi. Dosyć. Włęcz podglądać nie bę-dziemy. Niech to zdjęcie będzie ostatnim zdjęciem. Zosta-niemy tu, będziemy razem tańczyć. Wiosna ma swoje prawa, pogodzona z sesją nabrała nowego uroku.

J. M.



Za różowymi firankami



W całej swojej zabytkowej krasie, w dzień roześniana złotymi murami, wieczorem pełna czaru w romantycznym półmroku za różowymi firankami, na jednej z najpiękniejszych ulic Europy — Krakowskim Przedmieściu króluje Nowa Dziekancka.

Niedyskretne, chociaż już późna pora, uchylamy firanki w oknach. Zaglądamy do środka tego dziwego świata i... czar pryska!

BYWA I TAK

Na pierwszym piętrze krzyk. Przed drzwiami łazienki zebrali się gromadka zagniewanych dziewcząt. Bo jakże nie oburzać się, kiedy w tym tygodniu zdarzył się w Nowej Dziekanckiej już trzeci wypadek kradzieży. Żadnej rzeczy nie można zostawić na minutę bez dozoru, bo zaraz ginie.

A cóż na to Rada Mieszkalców? Odpowiedzią jest pogardliwe wruszenie ramion. „Jedyną ich radą — twierdzą studentki — jest nawoływanie, ażeby nie zostawiać niczego na wierzchu. Jak tu usprzec się od złodzieja, kiedy on jest wśród nas?”

Na Wandę już dawno padały po dotarciu. Już kilkakrotnie znaleziono u niej cudze rzeczy, ale tak oczywistego dowodu, jak z piórem Urszuli, jeszcze nie było. Wszyscy wiedzieli, że Urszula od paru miesięcy szuka swojego wiecznego pióra. Aż tu pewnego wieczoru po-

Urszulę przybiegają koleżanki z prośbą, żeby pomogła cucić zemłodną Wandę. Urszula biegnie do chorej koleżanki i... znajduje u niej swoje pióro!

Tłumaczeń i wykrętów Wanda ma na poczekaniu zawsze wiele. I tym razem znalazło się też parę wersji, ale pióro jako dowód oczywisty wskazuje winowajcę.

Oburzona Urszula poszła do Zarządu Wydziałowego ZMP Dziennikarstwa (na tym wydziale studiują wraz z Wandą) i zażądała postawienia sprawy Wandy na grupie. I cóż dowiedziała się? Ze „praca Zarządu Wydziałowego idzie w tej chwili po innej linii, więc Zarząd Wydziałowy zajęty innymi sprawami będzie zmuszony tę sprawę odłożyć!” Komentarz zbyteczny.

PLOTKARKI

Administratorka domu stoi w półmroku korytarza i prowadzi z dwoma dziewczętami ożywioną rozmowę. Temat musi być bardzo interesujący, gdyż oczy obydwu studentek błyszczą podnieceniem. Lecz na widok przechodzącej Hanksi milkną raptownie. Ładna, dziecinna twarzyczka Hanksi spochmurniała: „pewnie znów plotkują o mnie!”

Któż z nas nie ma różnych osobistych przeżyć i kłopotów, których strzeże zazdrośnie w najgłębszych tajnikach swego serca? A Hanka takich kłopotów ma może więcej niż inne koleżanki i martwi ją, że

jej dawne współlokatorki z pokoju 126 ciągle zajęte są tak gorliwie jej ciężkimi przeżyciami, jej kłopotami rodzinnymi, robią z nich dla siebie niezwykłą sensację, opowiadają na prawo i lewo, roznosząc po całym akademiku plotki, ploteczki.

Hanka miała wiele przykrości ze strony starszych koleżanek z filologii. Ale milczała — nie wspominała nikomu o kłopotach ze współmieszkankami. Tymczasem widocznie naszym studentkom z pokoju 126 towarzystwo „tej małej z historii” czyli Hanksi było niewygodne. Bo to i chłopcy przebywający bez przerwy w tym pokoju przeszkadzali jej, no i... zresztą ta zgrana paczka z filologii miała już dwuletnią praktykę w dokuczaniu i usuwaniu ze „swego” pokoju „uciążliwych” współlokatorów.

Skończyło się na tym, że nie Hanka, a one poszły ze skargą na nią do Zarządu Wydziałowego Historii. Jakis tam pretekst zawsze się znajdzie. Zarząd Wydziałowy sprawą zajął się i spór rozstrzygnięto w ten sposób, że Hankę przeniesiono do innego pokoju. Ale na tym nie koniec. Usłużne koleżanki ploteczek nie zaprzęstały, dzielnie przyczyniając się do stwarzania w Dziekanckiej ogólnego zamętu, nastroju „podniecenia”, niekoleżeńskości i rozdziewików między mieszkankami.

TAM, GDZIE NIE MA WSTĘPU CISZA

Jest godzina 22.30. Do okienka portierni podchodzi chwiejnym krokiem mężczyzna w przekrzywionym na bok kapeluszu.

— P-proszę p-pani chciałbym się zobaczyć z koleżanką ze sceny... Którą? Taką podobną do Śląskiej... Koleżaneczko! Nie! Nie do was mówię! Ja wołałem do tej ładnej.

Czekamy niecierpliwie kiedy ten pijany „kolega ze sceny” zostanie wyrzucony za drzwi. Ale gościnne podwoje Dziekanckiej i o tej porze przyjmują gości. Ktoś usłuśnie biegnie po tę koleżankę, wiecie, „tę podobną do Śląskiej”.

Jest godzina 23.15. Ze schodów schodzi głośno śmiejąca się i dowcipkująca, rozbawiona gromadką. To Dziekanckę opuszczają ostatni goście. I jakoś nikt nie zwrócił im uwagi, że to przecież noc, że ludzie

śpią, a ci, którzy się jeszcze uczą przynajmniej teraz chcieliby mieć trochę ciszy.

Wreszcie północ. Nucąc sobie i postukując obcasami — co rozlega się w Dziekanckiej głośnie echem — koleżanka Morawiecka pełna beztroski przebiega przez korytarz.

I tak bez końca. Czy można mówić o warunkach do nauki w domu, gdzie ciszy nie ma nawet w nocy?

*

Te drobne fragmenty z życia Dziekanckiej niestety są dla niej charakterystyczne. Kradzieże, plotki, hałas na korytarzach, goście prze-

bywający bez względu na porę, ciągle awantury, balagan... Mieszkanki Nowej Dziekanckiej, a zwłaszcza te z pierwszych lat historii, filologii czy dziennikarstwa, nie mają tak potrzebnego w czasie sesji „nastroju” do nauki. Studentki z lat starszych po wieloletniej praktyce trudnej sztuki mieszkania w Domach Studenckich łatwiej potrafią być głuche i ślepe na wszystko i zagłębić się w nauce tak, jak robią to mieszkanki pokoju 225 i 226 — poważne filozofki z 4 roku, lub z pokoju 2 P — gdzie piszą prace magisterskie dwie studentki biologii. Ale to tylko wyjątki.

W Zarządzie Wydziałowym Historii kolega Gajda powiedział nam, że wie, o tym, iż w Dziekanckiej dzieje się źle, ale ostatecznie zabierze się do poprawiania sytuacji w Dziekanckiej, gdy wskażą na to słabe wyniki mieszkanki w obecnej sesji (!!!)

Czy nie ciut, ciut za późno? A w każdym razie stosując metodę kolegi Gajdy należałoby się zabrać do niektórych Zarządów Wydziałowych na UW, do Rady Mieszkalców Nowej Dziekanckiej. Zabrać się i to ostro — zdecydowały o tym „wyniki” ich prac w Nowej Dziekanckiej.

HALINA WIEGNER

Cieplarnia nie zastąpi kuźni



Uczyć się na świeżym powietrzu można tylko do czasu. Toteż wieczorem zapelniają się czytelnie.

(Dokończenie ze str. 1)

na każdym możliwym miejscu książki, skrypty i notatki, zwierzchni włosy i nieco zmęczone już oczy wskazują, że dni nie upływają tu w beczynności.

Siedziałem właśnie w pokoju 115. Rozmawiałem o tym i owym, gdy nagle w drzwiach ukazała się potężna postać.

— Koledzy, potrzebny jeden do roberka.

— Chłopie, czyś zwariował? — odpowiedział mu jeden z moich rozmówców. — Gdzie nam karty w głowie?

Gdy drzwi zamknęły się, siedzący naprzeciwko mnie kol. Jeneralczyk tłumaczył:

— To nie od nas, to z Politechniki.

Istotnie, gdzież tam teraz studentom WSP do kart? Przypomniałem sobie, jak instruktor PKM w Zarządzie Uczelnianym skarżył się, że obecnie wyszedł z mody. Bilety do kin i teatrów nie idą — w „kursie” są jedynie skrypty.

W takiej napiętej atmosferze wystarczyło rzucić „półśłówko” lub mimochodem powiedziany najbardziej tani dowcip, by cały pokój zatrzęsł się od potężnego śmiechu. Trudno się dziwić, że ślęczyący całymi dniami studenci porównują się do istot stanowiących „skrzyżowanie tyłka z krzesłem”.

Oczywiście najmocniej przysiadają faldów ci, którzy teraz kończą studia. Słyszeliśmy o nich z niejednych ust. Wzorem roku ubiegłego większość „trzeciokrotniaków” zgłosiła się do ZMP-owskiego zaciągu: pojdą na najtrudniejsze odcinki pracy, tam, gdzie najbardziej potrzeba nauczycieli. Głębokie umiłowanie swego zawodu — oto co wyraża cechy większość studentów gdańskiej WSP.

Wypadałoby napisać jeszcze kilka zdań „podsumowujących” i zakończyć wędrowkę po tej uczelni. Wypadałoby, gdyby nie druga strona życia studentów gdańskiej WSP. Przetrzymamy więc medal na tę odwrotną stronę.

Na liście tegorocznych absolwentów pod literą G zapisany jest Gdaniec Roman, student III roku sekcji historii. Któż na uczelni nie zna tego nazwiska? Gdaniec, to swego rodzaju symbol lekkoducha. Opinia, jaką przedstawił komisji przydziału pracy, stwierdzała w konkluzji, że Gdaniec nie powinien pracować jako pedagog. Lekomyślnie, dwudziestoczteroletnie „dziecko”, rozpieszczone przez rodziców, widzące jako cel w życiu — zabawę, wódeczkę, kobiety.

W opinii było też napisane, że mimo wysiłków aktywów Gdaniec nie zrozumiał swych błędów i nie starał się zmienić postępowania. Tak napisano. Na posiedzeniu komisji

przydziału pracy przedstawiciel organizacji ZMP-owskiej musiał się jednak długo głowić, by wyszukać w pamięci fakty świadczące o tym, że nad Gdancem rzeczywiście pracował kolektyw. I przekonywających faktów nie znalazł. Współmieszkający Gdancę, kol. Jeneralczyk i Wiszowaty twierdzą, że Gdaniec to porządny, szczerzy chłopak, bardzo koleżeńki i najlepszy na uczelni sportowiec — tyle tylko, że lekomyślny. I oni nie bardzo mogą sobie przypomnieć, żeby ktokolwiek pracował nad Gdancem, zgęby kolektyw próbował mu pomóc.

Otóż to właśnie. Na studia przychodzi różni ludzie, większość z nich to naprawdę wartościowa młodzież, ale są i tacy jak Gdaniec. I takimi na gdańskiej WSP nie ma się kto zająć. Gdaniec nie stanowi tu wyjątku, choć wśród aktywno na jeden uważany jest za „złego ducha”.

Absolwentem historii jest również Zdzisław Borzycki — chłopak o wybitnej pamięci, wystarczy, by raz przeczytał skrypt i zdaje materiał na piątke. Tak mówią o nim koledzy, chociaż w zasadzie Borzycki kolegom nie ma. Współmieszkający uważają go za „zawracza”, którego nie można wierzyć ni słowa. Jego miłosne historie znane są powszechnie i szeroko. Ten przyszły pedagog pomiatła koleżankami, oszukuje swoją narzeczoną, mniej zdolnych studentów traktuje z góry, za to w stosunku do wykładowców jest przesadnie uprzejmy.

Czy postawa Borzyckiego omawiana była kiedykolwiek w kolektywie? Nigdy. Przeciwie, przez niektórych uważany jest on nawet za aktywistę, a w opinii po formule „postawa moralno-polityczna” widnieją dwa słowa: bez zarzutu.

Podobnych wypadków można znaleźć w WSP więcej. O tym jednak milczy się. A właściwie mówi, ale po cichu i nie tam, gdzie trzeba. Za mało na uczelni walki ze starym, a zwłaszcza ze starym w świadomości. Niektórzy starają się tłumaczyć to tym, że jest za dużo ZMP-owców! I wobec tego, nie mają oni z kim walczyć (!!!).

A jest z czym walczyć. Przede wszystkim z tym, co przeszkadza tegorocznym i przyszłym absolwentom gdańskiej WSP opuszczać mury swej uczelni, takimi, by młodzież znalazła w nich prawdziwych wychowawców, przyjaciół i mądrych pedagogów. Takich, którzy potrafią skierować młody charakter na właściwą drogę.

Ale tacy nauczyciele wychodzą tylko z kuźni gdzie sypią się strumieniem iskry plomienia walki z przeżytkami starych. Nietykalna gdańska WSP za mało przypomina taką właśnie kuźnię. Za dużo w niej elementów spokoju i samozadowolenia, które upodabniają ją bardziej do cieplarni, w której można wprawdzie wyhodować duży kwiat, ale będzie on zawsze zbyt giętki i bładny, niedoporny na powiewy silniejszego wiatru.

I dlatego należy pamiętać, że sesja egzaminacyjna — choćby wypadła jak najlepiej — nie będzie jeszcze wystarczającym sprawdzianem przygotowania wszystkich studentów do najważniejszego i zarazem najtrudniejszego egzaminu — egzaminu życia.

JERZY AMBROZIEWICZ

W odpowiedzi na list z Kędzierzyna

U wrocławskich chemików

Praca zetembowska na naszym wydziale przez długi czas nie była zadowalająca. Na pierwszym roku odswie w sesji zimowej wynosił prawie 40 proc. Duża część młodzieży wykazuje chwiejność światopoglądową. Zająć się z podstaw marksizmu - leninizmu traktowane są przez studentów po macoszemu. Słaba jest również dyscyplina studiów, zwłaszcza wśród studentów I roku. Dochodziło do tego, że na komisję dyscyplinarną skierowywano po kilkudziesięciu studentów na raz. O słabości naszego aktywu może świadczyć fakt, że w czasie sesji zimowej zarządy kół I, II i III roku rozpadły się. Organizacja za mało pracowała nad wyrabianiem zamiłowania do zawodu, a więc nie wykorzystywała podstawowego czynnika pracy politycznej. Zarządy kół nie współpracowały z katedrami, a również i Zarząd Wydziałowy nie umiał znaleźć wspólnego języka z poszczególnymi wykładami, nie wpływał na kadrę profesorską i asystentką.

Po wyborach, nowy Zarząd Wydziałowy z energią zabrał się do pracy. Przede wszystkim nawiązał kontakt z katedrami. Na zebraniach i drogą indywidualnej pracy wpłynął studentom przekonanie o konieczności studiowania marksizmu-leninizmu. Wyniki były zadowalające. Poprawiła się znacznie frekwencja na wykładach i ćwiczeniach, podniósł się poziom zajęć.

W tej pracy dużo pomógł nam list ZPA w Kędzierzynie. Po ukazaniu się listu, organizacja partyjna i zetembowska razem z gronem nauczającym odbyła naradę, mającą na celu omówienie sposobów podniesienia poziomu naukowego i politycznego studentów. Na naradzie tej, tak studenci jak i profesorowie wykazywali nawzajem niedociągnięcia w pracy i wskazywali na środki wyjścia.

A my robimy tak...

Listy zakładów pracy do studentów, zamieszczane w ostatnich numerach POPROSTU głęboko „wziął sobie do serca” wydział komunikacji Politechniki Warszawskiej, choć nie był ich bezpośrednim adresatem. Zebrania wszystkich grup wydziałowej organizacji zetembowskiej, poświęcone sesji egzaminacyjnej, oparto na listach i artykułach zamieszczonych w Waszym piśmie. Zebrania te pozwoliły lepiej zobaczyć studentom, że sesja to nie tylko sprawa poszczególnych egzaminów, ale sprawdzian przy-

gotowania do życia. Toteż dyskusje na zebraniach były ożywione, wysuwano rozmaite wnioski, mające usprawnić zarówno przygotowanie, jak i sam przebieg sesji.

Ekzekutywa, Oddziałowej Organizacji Partyjnej analizując listy zamieszczone w POPROSTU oraz wypowiedzi absolwentów naszego wydziału postanowiła zorganizować we wrześniu br. naradę absolwentów oraz przedstawicieli zainteresowanych resortów i zakładów pracy. Poszczególne katedry i zakłady również pracują nad zbliżeniem stu-

dentów do produkcji już w czasie studiów. Niektóre zakłady otaczają opieką naukową absolwentów, analizują ich pierwsze samodzielne projekty i z niedociągnięć czy błędów tych projektów starają się wyciągnąć wnioski dla siebie, dla programów nauczania.

Zakład Budowy Dróg jako tematy prac magisterskich dał do wykonania projekty, oparte na konkretnych potrzebach terenu. Dało to i tę korzyść, że magistranci, przebywając w terenie dla dokona-

nia pomiarów i zebrania potrzebnego materiału, pracowali społecznie, biorąc udział w pracach wiejskich kół ZMP i pomagając miejscowym szkołom.

Wydać się, że nasz wydział — choć istnieje dopiero od kilku lat — zdobył już pewne cenne doświadczenia, i że nasi absolwenci wydadzą o nim dobre świadectwo.

T. SZENIRER
wydz. komunikacji
Politechniki Warszawskiej

Usprawniamy system nauczania

Dnia 21 maja odbyła się na naszym wydziale narada produkcyjna zorganizowana przez władze uczelni i organizację ZMP.

Bodźcem do zwołania narady był list załogi Kędzierzyna umieszczony w POPROSTU. Na naradzie omawialiśmy sprawy związane ze zbliżającą się sesją egzaminacyjną oraz z systemem i programem nauczania.

Studenti wysunęli szereg projektów jak np.: rozszerzenie materiału dotyczącego nowoczesnej technologii nieorganicznej, zwrócenie większej uwagi na wykorzystanie praktyczne wiadomości z termodynamiki chemicznej i in. Były również omawiane sprawy bardziej racjonalnego wykorzystania czasu studiów — tak np. proponowano, aby wykłady z technologii chemicznej przenieść na poprzedni semestr mniej obciążony zajęciami.

Na naszej uczelni mało osób prenumeruje POPROSTU. Wiele jest takich studentów, którzy gdy dostaną do ręki POPROSTU, otwierają je chętnie i mówią: „Cóż to za dziwo, nigdy tego w rękę nie miałem”. Dlatego apel kierownictwa Kombinat w Kędzierzynie, choć został skierowany i do naszej uczelni, nie spełnił swego zadania.

Wprawdzie niejedna koleżanka i niejedna kolega po przeczytaniu listu powiedzieli sobie, że sesję zdadzą lepiej i wezmą się do pracy społecznej, np. kiedy w bibliotece zobaczylam 18 nr POPROSTU i zaczęłam go przeglądać, przysiadł się do mnie kolega Edward Mekwiński. Przeczytał list Kombinat i powiedział: „A to ci heca, przecież to aż wstyd, lepiej się zapasć pod ziemię jak iść do pracy i niewiele umieć, mając dyplom”. Jednak było to wypadki sporadyczne, a rozbudzony zapal — nie podsycały — gaśnie.

Listem otwartym Kombinat Kędzierzyskiego nie zainteresowała się organizacja ZMP-owska. Nie ma u nas żadnych dyskusji ani narad, a nawet nasz radiowóz tak ostry i sprostegawczy tym razem uparcie milczy.

Może to milczenie można przypisać nawałowi pracy aktywów? Bo przecież Zarząd ZMP i Komitet ZSP wciąż walczą o konsultacje, o godziny nadplanowe, o przesunięcie lub skrócenie terminów oddawania prac technicznych.

Fakt jest faktem, list czytało nie wielu aktywistów, a ci, którzy czytali nie interesują się nim zupełnie. A to przecież niedobre — niejedną taki Kombinat w Polsce czeka na nas. Mamy do tych zakładów nieść naszą wiedzę techniczną, podnosić poziom kulturalny i ideologiczny załogi. I dlatego też trzeba wzmocnić pracę naukową i organizacyjną właśnie w oparciu o list.

ALINA CHWASTOWSKA
SI — Częstochowa



Nie samą sesją człowiek żyje. A zresztą dobre przygotowanie kawy również nie pozostaje bez wpływu na przygotowanie się do egzaminów. (Foto: R. Weraksa)

Od autora „Herkulesów”

DRODZY KOLEDZY - CHEMICY
Z POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ!

Miły Wasz list otrzymałem niecodziennie raczej drogą: pojawił się na łamach POPROSTU. Korzystając z zezwolenia redakcji odpowiadam w ten sam sposób, i przepraszam tych wszystkich czytelników, których moja prywatna korespondencja zupełnie nie interesuje. Mogą nie czytać.

Autor, objawiający tendencje rozwojowe — a który z literatów za takiego się nie uważa! — powinien spojrzeć prawdziwie krytycznym okiem na książkę, pisaną przed dwoma laty, jeżeli te lata zalicza do pierwszych w swej pracy twórczej. Gdy przed paru miesiącami postanowiłem przygotować „Herkulesów” do drugiego wydania, ogarnęła mnie panika. Czy w ogóle warto tu coś poprawiać? Czy mam może książkę na nowo napisać? Zupełnie nie wiedziałem, co z nią zrobić: wydawała mi się zła, naiwna, płaska i nieciekawa. Miałem się po mieście jak błędny.

„Herkulesów” nie napisałem na nowo. Byłaby to już inna powieść: przez te dwa lata starałem się udoskonalić swój warsztat pisarski i jakoś lepiej widzieć otaczający mnie świat. Ale dotychczas zdobyte doświadczenia postanowiłem w pełni zużytkować już w nowej powieści. Piszę jak obecnie.

A „Herkulesy”? Już ukazało się w księgarniach drugie ich wydanie. Po wielodniowej szarpaninie przystąpiłem jednak do pracy: wprowadziłem wiele nowych scen, wiele poprawiłem. Zachowując ten sam konflikt i te same realia starałem się wyeliminować najważniejsze błędy. Jeden z nich wytknęliście mi słusznie w Waszym liście: przemiana Sapińskiego. Zastrzeżenie do drugiego wydania — jest o wiele tańsze od pierwszego — i napiszcie mi, proszę, czy prawdziwsza wydała się Wam ta postać w nowym ujęciu. Również i na drugi zarzut — za wolna reakcja zetempowców — znajdziecie tam odpowiedź.

O ile więc w tych dwóch wypadkach mam nadzieję wytrącić Wam broń z ręki, to inne Wasze zarzuty pozostaną nadal aktualne mimo no-

wej redakcji „Herkulesów”. Nie starałem się nawet umieścić w powieści „białej miłości” obok „czarnej”, jak tego żądacie. Mimo wszystko liczę na Wasze doświadczenie w tej dziedzinie; chyba nie tylko kolega Plocharski, ale wszyscy wiecie, że nie same „zepsute drobnomieszczańki” całują się i chodzą na spacerki ze swymi sympatiami i że nie każda miłość kończy się „niemoralnie”. A może właśnie historia miłości Gandery najjaskrawiej piętnuje Danusię, typ spotykany jeszcze w naszym życiu? A przecież o takie napiętnowanie mi chodziło.

Nie podoba się Wam Gandera? I mnie nie zawsze przypadła do gustu, a jeden z bardziej napastliwych krytyków zawodowych nazywał go po prostu „matolkiem”, choć nie brakowało głosów biegunowo przeciwnych, jak to niestety często bywa w krytyce ku dezorientacji młodszych autorów. Bardzo wątpię, czy „fajtlapa” może być jednocześnie człowiekiem idealnym, jak to piszecie; tym bardziej niestuszne jest Wasze twierdzenie, że Gandera „nie ma wad, uczy się przykładnie, myśli właściwie”. Nie radzę Wam zawsze brać przykładu z Gandery, koledzy, bo przez znaczną część książki on wcale nie myśli właściwie, a nurtującym go uczuciem jest zwykły egoizm, a czasem pojawia się i chłórzostwo...

Z tych Waszych zarzutów wywnioskowałem, że nie zawsze pamiętacie o celu „Herkulesów”. Jest nim niewątpliwie walka z pewnym negatywnym zjawiskiem, występującym w naszym życiu społecznym: możemy je nazywać skrótowo „dyktatorstwem”. Naczelnemu konfliktowi „dyktator Sapiński” — „fajtlapa Gandera” podporządkowane jest wszystko w książce. Zgodzić się ze mną, że dyktatorzy w rodzaju Sapińskiego pojawiali się nie tylko na wyższych uczelniach, ale w każdym środowisku młodzieżowym.

Przecież ja Sapińskiego nie wymyśliłem: ja go widziałem, tak jak widziałem Gandę, choćby się to nie wiem jak nie podobano niektórym krytykom, posypującym lukrem wszelkie konflikty naszej epoki. I pewno przynajmniej, że ta-

kim Sapińskim najłatwiej jest „duś” jednostki nieśmiałe, niewyrobione, nieuświadomione politycznie — słowem Gandę. Bez trudu mogłem stworzyć Gandę, który w pierwszym rozdziale popędził zdemaskować Sapińskiego lub wygłosił doń przemówienie utrzymane w ostrym tonie czy nawet powoli go uderzeniem w szczękę, a w drugim — odrzucił z pogardą miłość drobnomieszczańki Danusi; niestety, w ten sposób nie mogłbym pokazać ani konfliktu, ani zgubnego wpływu polityki dyktatora na takie właśnie i s t n i e j a c e jednostki, jak Gandera. Rozumiecie mnie? Ani rusz nie mogłem bez „fajtlapy”. W uświadomionym politycznie i odważnym kolektywie pozbawionym zupełnie „fajtlapy” nie mógłby się znaleźć dyktator, bo by natychmiast dostał po łbie. Doświadczenie uczy nas jednak, że zdarzają się jeszcze dyktatorzy, a więc muszą być i „fajtlapy”. Quod erat demonstrandum.

Żałuję i ja, że nie znalazłem się wśród Was w czasie tej ciekawej i ożywionej dyskusji. A przecież mogłście temu łatwo zaradzić. Wystarczyło dać mi znać: nigdy nie odmawiam takim zaprosinom. Mogłbym Wam powiedzieć o wiele więcej niż w tej odpowiedzi, bo przecież nie wypada wypychać się z sąsiedztwa „kobyłą” na gościnne szpalty POPROSTU, które pewno ma już zupełnie dosyć tych „Herkulesów”. A i od Was usłyszałbym więcej, bo trudno streścić w liście tak długą dyskusję. Dobrze się stało, że Wasz referent, kolega Plocharski, należy do grona przeciwników mojej powieści, bo co by to była za dyskusja i korzyść bez krytyki? I dlatego wbrew jego obawom przeczytałem list do samego końca, choć zaczął od wytaczania dział, a pochwały umieścił skromnie na końcu. Przyszanam Wam się w tajemniczy, że tak naprawdę to ja nie podskakuję z uciechy, gdy mnie krytykują, ale chyba się w tym nie różni od innych ludzi: ktoś u diabła lubi gorzkie lekarstwo, choć przynosi mu zdrowie?

Pozdrawiam Was serdecznie, koledzy - chemicy i żyjące Wam wielu zajadłych dyskusji nad książkami lepszymi od „Herkulesów”.

JERZY STEFAN STAWIŃSKI



Warszawa otrzymała nowy teatr. Jest nim... Studencki Teatr Satyryczny, którego „aktorzy” to studenci warszawskich uczelni. Zgrabnie dobrany program pt. „To idzie młodość”, starannie wyreżyserowany, ściga w każdą niedzielę licznych widzów do sali Domu Kultury Energetyków na Wybrzeżu Kościuszkowskim. Na zdjęciu scena z zabawnego skeczu, którego akcja toczy się w znanej nam wszystkim redakcji (sic!). Występują w nim Żużla i Andrzej Gabrysiowie. Foto Wik

Poezja młodości i optymizmu *)

...W biedoty sięgam dusze
By słów gorących płomien,
Żelazną wrzącą strugę
Zamknąć w rytmiczne strofki
Mej broni, jakże młodej...

Odważny i słuszny jest zamiar poetycki Tadeusza Nowaka. Nie w opisywaniu dziejów — ale w „sięgnięciu w duszę”, w wyrażaniu w sposób ludzki ludzkich dziejów — tkwi piękno i siła poezji. Jasne, że nie jest to wszystko czego wymagamy od poety, ale jeśli autor tak pojął i zrozumiał swoje zadanie, na pewno swą twórczość „ocali od zapomnienia”.

Pasja i głębokie przekonanie, iż walczy o słuszną sprawę — dominują w wierszach Tadeusza Nowaka. Młoda jego poezja, mimo licznych jeszcze potknięć, tchnie szczerością i jest tematycznie bardzo wszechstronna. Czytelnik, otwierając

jący ten małego formatu tomik, staje zdumiony przed bogactwem problemów poruszanych przez autora.

Dominującym tematem twórczości Tadeusza Nowaka są przemiany ideologiczne i psychiczne człowieka („Bajka”, „Rówieśnikom”, „Z życiorysu Jana Cichego”).

„Dziś się ucze miłości
ręczy wielkich i prostych,
nienawidzi się ucze,
aby słowo nienawidzi
Z ludzkiej mowy wymazać...”
(„Rówieśnikom”).

Moralności i ideologii Nowak nie pojmuję abstrakcyjnie, zawsze mieszcza je w konkretnym obrazie naszej rzeczywistości („Towarzysze”).

Poeta silnie podkreśla swoją łączność z ludem.

I wtedy, gdy pisze o patosie pracy górnika lub murarza, i wtedy, gdy opowiada o żołnierzu armii chińskiej, czy żołnierzu Armii Czerwonej. — A w „Deklaracji” mówi — wprost:

„Nie idę sam przez życie...”

Chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na utwory poświęcone wspomnieniom lat dziecińczych, wsi z której pochodzi i którą doskonale zna.

Można by mieć jedno zastrzeżenie. W rysowaniu sylwetki bohatera Nowak na ogół nie indywidualizuje jego charakteru — nie wzbogaca go nowymi rysami.

Jedynie w wierszu „Bajka” (najlepszym według mnie z całego zbioru) — autor żywo i plastycznie na-

kreślił sylwetkę. W tych kilku prostych strofach, na przykładzie losów pastuszka daje naprawdę dobry i niesztampowy obraz tych zmian, które u nas zaszły, dzięki którym rzeczywistość lat 30-tych staje się w latach 50-tych — bajką.

„Trażem jestem pieśń
potykam się o korzeń...”

Nowak nie uważa, że jego poetycka droga jest łatwa. Uważa, że dopiero „uczy się mówić” — nie zawsze jego metafora jest plastyczna, a porównanie trafne, ale zawsze przemawia do czytelnika młodzieńczą pasją utworu.

Na zakończenie chciałem zwrócić uwagę jeszcze na jeden walor poezji Tadeusza Nowaka. Chodzi mi o poetyckie obrazy przyrody, które nie stanowią jakiegokolwiek autonomicznego całości, ale są podporządkowane idei utworu, zastrzegają wizualność obrazu poetyckiego. Tak są dzieje w wierszu „Spotkanie” poświęconym walce klasowej w rodzinnej wsi poety:

„Oto i moja wieś odbita
Grzywami strzech w burzliwej wodzie
Czyż znacze ten wiśniany wicher
I pół urodzaj?”

Tadeusz Nowak jest poetą młodym. I jeżeli jego zapal i młodzieńczość nie zgaśnie — to wierzę, że poeta nauczy się mówić jeszcze mądrzej i jeszcze piękniej.

TADEUSZ BUJNICKI
UJ — Kraków

*) Tadeusz Nowak: Uczę się mówić — Czytelnik 1953 r.

Pelieton ZGRZYŻLIWY

Podobno nieszczęścia chodzą w parze i wszyscy się już do tego przyzwyczaili. Tak więc jeżeli zdarzy ci się jeden niezbyt przyjemny wypadek, czekasz na następny. I nigdy nie czekasz długo. Już tak jest. Są i tacy, którzy twierdzą, że szczęście też chodzi w parze. Możliwe, tylko, że w tym wypadku nikt nie ma przeciwko temu.

Gdy któregoś dnia otrzymałem od kolegów z zespołu satyrycznego Uniwersytetu Łódzkiego zgryźliwy list w sprawie kultury w życiu studenckim, przeczuwałem, że na tym się nie skończy. Moje przeczuć poszły nawet dalej i już sobie wyobrażałem jak w przyjemny majowy wieczór piszę niemiłej zgryźliwy felieton na temat: studenckie sprawy kulturalne po XI Sesji Rady Kultury i Sztuki...

Nie pomyliłem się. W kilka dni potem listów zaczęło napływać coraz więcej. Nie były wprawdzie takie zgryźliwe jak ten pierwszy, ale prawie w ten sam sposób komentowały nasze osiągnięcia na polu kulturalnym. Czytając je stawałem na marginesie duże wykrzykniki i znaki zapytania: że też wcześniej o tym nie powiedzieliśmy, no, no?

Przystawiając kropkę nad i postawił telefon. Dzwonił kolega, pracownik jednego z poważnych pism.

— Przyjdź zaraz! Czekam! — w jego głosie brzmiało coś, co nie pozwoliło lekceważyć prośby. Zastąpiłem go w niecodziennej sytuacji. W pokoju panował nieład. Porozrucane książki i papiery, pełno dymu z papierosów. Radio wydawało przedziwne ryki nie pozostawiające wątpliwości, że to koncert orkiestry jazzowej pana Krupy. Równocześnie patefon skrzypiał jakies smętne tango.

Kolega uprzedził pytania.

— Wróciłem z terenu.

— Wysłali mnie na reportaż z życia studenckiego. Miał być wesóły i zarazem poważny, taki rozumiesz — studencki.

— Nie mam studenckiego reportażu, bo to co widziałem... — tutaj machnął ręką i zmienił płytę w paterfonie — jak widzisz muszę się leczyć, ogarnęła mnie jakaś nuda i w ogóle chciałbym się trochę rozruchać. To jest chyba zarażenie, a może nawet epidemia. Może mi pomożesz, znasz się na tym...

Miałem poważne wątpliwości co do stosowanej metody.

Wieczorami rozpoczynały się próby zespołu artystycznego. Były i takie. Może w mniejszej ilości i mniej nas było, ale widzieliśmy przed sobą cel. Nasze piosenki i przedstawienia walczyły. Rozbrzmiewały w skromnych świetlicach, a najczęściej na podwórkach robotniczych przedmieść. Ile wkładaliśmy w nie pomysłowości i inwencji. Spotykała nas zasłużona nagroda — serdeczne oklaski. I przygoda — niejedną noc przespało się w komissariacie sanacyjnej policji.

Często chodziliśmy do teatru. Na „jaskółkę”, żeby było taniej. Zylismy długo przedstawieniami, oklaskiwaliśmy aktorów. Znalismy ich i z szacunkiem kłaniał się im na ulicy. Długo dyskutowaliśmy nad każdą sztuką, a nawet kłócił się się. Gdy na którymś z przedstawień ostatnie balkony milczały ponuro, albo jeszcze gorzej, gdy z góry odzywały się gwizdy i wycia — wiadomo było, że sztuka długo nie pociągnie.

Zaraz po wojnie, zamiast na lekcje — chodziliśmy odbudowywać uczelnię. Potem było coraz jaśniej, mieszkaliśmy w nowych domach akademickich. W naszych piosenkach śpiewaliśmy o Warszawie... o

przyszłości... biło się o wszystko co nowe. W nocy gdy przez las wracaliśmy ze wsi strzelano do nas. Ech, czuło się jak smakuje życie. Dla malkontentów nie było wśród nas miejsca.

Potem opowiadał szczegółowo swoje studenckie przygody. Wybuchaliśmy co chwila głośnym śmiechem.

TROCHĘ WSPÓŁCZESNOŚCI

Gdy wróciłem do domu, poczułem całe brzemienie malkontentstwa i zorganizowanej nudy jaką zaraził się mój nieostrożny kolega. Jeszcze raz przeczytałem list z Łodzi: „Jeżeli masowość musi być połączona z nudą, to dziękujemy za taką masowość. Od czego był II Zjazd i XI Sesja Rady Kultury i Sztuki, my się pytamy hm... co? Wolimy żeby 10 osób bawilo względnie dostarczało głębokich wzruszeń dla 500, niż żeby 500 nudziło te 10. Idone z braku innego zajęcia, oraz niemożności wydotkania się ze swoich miejsc musiło siedzieć i słuchać. Naszym zdaniem praca kulturalno-masowa, ewentualnie masowy udział studentów w owej pracy polega na dostarczaniu owej masie studentów naprawdę kulturalnej rozrywki...”

Trudno im nie przyznać racji, ale niestety nie można. Przecież może być masowość i równocześnie nie musi być nuda. Nasze wy-

stępy mogą skrzyć się dowcipem i prawdziwym, niezakłamanym życiem studenckim. Czyli kwestia nie leży w masowości kultury, ale w masowym zjawisku robienia uszyskiego pod jedną miarkę i jedną instrukcję.

I jeszcze w czymś co trudno określić. W zjawisku jakiegokolwiek niezrozumiałej atmosfery robienia uszyskiego dla kogoś, a nie dla siebie. Tak się już uitało, że jeżeli ktoś tańczy, lub śpiewa w zespole, widzi tylko, że jest zapracowany, że... nawet nie ma czasu na rozrywki. Nawet jeżeli gra w drużynie siatkówki, nawet jeżeli idzie do teatru — to i wtedy „pracuje”, bo trzeba będzie zastanowić się i podyskutować później z kolegami. Dzieje się tak dlatego, że często dyskusja nie wypływa z duchowej potrzeby ale z instrukcyjnego zalecenia.

Tutaj już sprawy stają się trudne do uwierzenia. A jednak tak jest. Zamiast właśnie w zespole i dyskusjach szukać rozrywki, okazji do wyładowania swoich sił, widzimy reakcję wprost odwrótną. Zbyt często nasze zespoły kształcą w swych szeregach nie ludzi kulturalnych, a „męczenników” kultury. Spotykamy ich niemal na każdym kroku.

ZMP. Musi zostać w zespole (za karę). Tego faktu nie będę komentował. To jest wypadek jaskrawy, może nawet zbyt jaskrawy, lecz już na początku zaznaczyłem, że nie będę pisał o pozytywach.

W czym leży nasza wina. Można powiedzieć krótko. W tym, że pozwoliliśmy się wtoczyć w ramki instrukcji, że spuściliśmy nosy na kwintę, że przyzwyczailiśmy się, aby ktoś myślał za nas, że jesteśmy zarażeni malkontentstwem i nudą, że zrezygnowaliśmy z własnych ambicji... Nie, nie zrezygnowaliśmy. Listy, które leżą przede mną świadczą, że nie. Wolno mi więc zakończyć optymistycznie.

TROCHĘ O PRZYSZŁOŚCI

Wszystko zależy od nas. Czy potrafimy wyrwać się z nudy i kultury na „wynos”, czy potrafimy żyć i przeżywać uszysko z pasją, nie ugiąć się pod ciężarem kulturalnictwa? Wszystko zależy od nas, od naszej inicjatywy, od naszej młodości. To wszystko.

Podszedłem do okna. Jest godzina dwunasta. W domu akademickim po drugiej stronie ulicy świecą się wszystkie okna. Cisza.

R. WIŚNIEWSKI

ZBIGNIEW KOŚCIŃSKI

Moja dziewczyna

Moja dziewczyna ma jasne oczy,
Złotem błyszczące i w dzień i w nocy.
Czasem spojrzenie czerni rzes przedłuży,
wtedy je widzę płatkami róż,
kiedy ogniki z głębi wypłyną,
wtedy się śmieję razem z dziewczyną,
Nieraz w jej oczach perli się mgła.
Lzami jej oczów smucę się ja.
I widzę we dnie, śnią mi się w nocy
mojej dziewczyny — jej dobre oczy.

CZESŁAW BIAŁOWĄS

Na budowę spółdzielczej obory

Nie mogę w izbie usiedzieć,
— Matulu, zasłoń okna! —
Budują oborę z cegieł
Na pokaz.

Moja chalupa z drzewa
(— Zazdrość kłuje, jak igła —)
Przecież to grzech, żeby cegła
Poszła dla bydła!

Jakby paliło go w pierś,
Tak gwałtownie się pieklił:
„Nie mają Boga w sercu,
Ojcowizny się wyrzekli!”

Nie potrafił w izbie usiedzieć —
Wyszedł przed chalupę z drzewa
I od obory z cegieł
Nie mógł oczu oderwać,

LISTY PAWEŁA PYZJA

Opublikowanie „Pamiętnika uczennicy”, (patrz „Nowa Kultura”), który w swoim czasie tyle gwałtu narobił, ukształciło w mym dziennikarskim umyśle szczególną pasję: postanowiłem za każdą cenę dorwać się do czyichś pamiętników lub korespondencji, by zuytytykować je dla publicznej i własnej (wyznam to) korzyści. Około 30 osób zapytywałem w czasie swej ostatniej podróży po Wybrzeżu, czy nie prowadzi dziennika. Ich pełne zdumienia odpowiedzi były dla mnie jednym wielkim pasmem rozczarowań. Twórczość pamiętnikarska jest, jak zdołałem wynioskować, bardzo mało popularna.

Ale jednak — znalazłem! Co prawda nie dziennik, tylko listy... W mieście powiatowym B. województwa szczecińskiego poznałem młodą nauczycielkę miejscowego gimnazjum. Po wielu szczerych i wymagających nie byle jakiego wysiłku intelektualnego rozmowach, Zofia dała mi do przeczytania listy swego o rok młodszego brata — Pawła.

Treść tych listów, odpisaną podstępem, przesyłam Szan. Redakcji. Sądzę, że po ewentualnym wydrukowaniu ich, Zofia zamorduje mnie wespół z Pawłem. Lecz moja sława — odkrywczego, pełnego inwencji, odważnego dziennikarza — nie przeminie.

T. S.

Z tym przeświadczeniem kreślę się

Warszawa kwietnia 1954

Siostrzyczko moja najukochańsza!

Tak więc spełniły się nasze najdroższe marzenia! Jestem w tej wyśnionej, „dalekiej” stolicy.

Nie masz pojęcia, jak tu ciężko z mieszkaniami. Są ludzie, którzy wytoczyliby pół krwi za pokój z kuchnią. Ale towarzyszy Ferment — mój nieoceniony protektor, którego poznawszy pokochałem tym bardziej, (uroczy gość!!!) — zapewnił mi cichy pokój przy rodzinie pod adresem zapisanym na kopercie tego listu.

Pierwszej nocy naturalnie nie spałem. Myślałem byłem przy Tobie i przy tym wszystkim co tak niespodziewanie spadło na nas ostatnio.

Pamiętasz ten dzień, gdy doszedł naszych rąk numer „Nowej Sztuki” z moimi trzema nowelkami? A później list towarzysza Fermenta: „Przejeżdżajcie do Warszawy studiować...”

Kochana moja! Nie brak mi tu szerokich b-gardzkich ulic z piętrowymi domkami, ani tej gotyckiej architektury mojego dzieciństwa, ale tak bardzo brak mi Ciebie — Twojego ciepłego uśmiechu i łagodnego spojrzenia. Do kogoż mi tutaj pójść, poskarżyć się, poradzić?

Powiedz tacie krótko co tu napisałem, ale listów moich nie pokazuj, rzecz prosta*). Jakżeby się cieszyła nasza biedna mama, gdyby mogła widzieć początki mojej — czuję wyraźnie — „karierę” (tak by to nazwała).

Całuję Ciebie i tatę

Wasz Paweł

*

Warszawa kwietnia 1954

Zochna!

Chodzę na wykłady i ćwiczenia I roku polonistyki, ale normalne studia zaczęć od września. Przyda mi się ta znajomość z trybem pracy na Uniwersku, z kolegami i profesorami.

Prawie całą resztę wolnego czasu spędzam w Klubie Literatów na Krakowskim. Najwięcej w bibliotece.

Wszystko na co patrzę jest tak nowe, że wprost oszołamiające. Jakże pragnąłbym mieć Cię tutaj i razem z Tobą przeżywać te wrażenia.

Przychodzą do Klubu wszyscy wielcy, znani nam dotąd tylko z książek, z teatrów, z tomów poezji. Gdy zjawia się towarzyszy Ferment, zaraz wzywa mnie do swego stolika i przedstawia licznym ludziom. W ten sposób poznałem pana Tystruna, Zlewolskiego, Płereż i wielu innych. Są to — muszę Ci powiedzieć — bardzo miłi i wcale niezrozumiali ludzie. Każdy czytał moje nowelki w „Nowej Sztuce” i chwałą bardzo za odwagę i odkrywczość.

Trochę mi nie pesza te superlatywy, bo ostatecznie „Październik” Fermenta jest o wiele bardziej odkrywczy, niż moja bazgranina o b-gardzkim lekarzu czy o k-brzeskiej nauczycielce.

Ci co przychodzą do Klubu grają w szachy z towarzyszem Fermentem na czele. Szachy są jakby ich zawodową chorobą, a przegrane niby zawodową chorobą, tak się nimi martwią.

Zaszedłem dziś do redakcji studentckiego tygodnika „Wprost-przeciwnie” (piszę się razem w dawnej pisowni). Kierownik działu literackiego, łysawy facet, niejaki Stójczarski, nie czytał moich nowel („W ogóle nie czytuję „Nowej Sztuki” — powiedział), ale zaproponował mi napisanie czegoś o studentach, i nawet podał tematy (deklamacja studentów ze środowiska robotniczego, wyrastanie nowych ludzi itp.). W ogóle dziwił się bardzo, że chociaż chodzę na Uniwersum, to nie dostrzegam problemów ani walki klasowej ani specyfiki środowiska. Zamówił u mnie opowiadanie na podany temat (studentka, która popełniła samobójstwo z miłości) i powiedział, że to pójdzę jak tylko przyniosę, bo „Wprost-przeciwnie” cierpi na brak materiałów o miłości, i że pieniądze będą za tydzień. Nie wiem, czy potrafię się wżyć w środowisko uczelniarne. Stójczarski powiedział, żebym poszedł na parę zebrań zetempowskich.

Stołuję się w barach mlecznych, a obiady jadam u Literatów. Nawet nieźle (po 7.80 dla gości i 6.80 dla członków Związku), ale zawsze nie to, co potrafiłaby wyzwarować Twoje kochane rączki.

Zosienko! Napisz mi **dużo** ciepłych słów, bo jest mi bardzo smutno. Jak Twój uczniowie, co Zendeck, ten łobuziak?

Całuję

Twój Paweł

P. S. Tatę. ucałuj.

*

Warszawa kwietnia 1954

Siostrzyczko moja niezastąpiona!

Chcę Ci donieść o dwóch ważnych wydarzeniach, a właściwie o trzech, ale jedno jest moje bardzo osobiste, więc się mniej liczy.

Po pierwsze: zostałem przyjęty do warszawskiego koła młodych i byłem na ich zebraniu (też w Klubie Literatów).

Nasamprzód poznałem przewodniczącego koła, Józka Podgajniaka, z którym już jestem „na ty”. Powiedział, że miałem wielkie szczęście z „Nową Sztuką”, bo to był akurat specjalny numer młodzieżowy i **ponieważ mnie jeszcze nikt nie znał, więc wydrukowali**. On też debutował w „Nowej Sztuce”, ale dawno temu. Od 17 miesięcy leży tam jego opowiadanie, nawet zatwierdzone do druku, ale nie mają miejsca, bo jak podobno mówi kierownik działu prozy pan Pech „aby coś pchnąć na kolumnę, to trzeba pół zdrowia stracić. Zresztą sam Wasiaszkiewicz czeka kwartał”. Podgajniak twierdzi, że bez druku młodzi nie mają szans się rozwiijać, a zresztą materiał ulega dezaktualizacji. Co o tym sądzisz?

Zebranie koła było bardzo ciekawe i **nie wiem** dlaczego ludzie cały czas gadali ze sobą albo ziewali. Na zebraniu jeden chłopiec odczytywał swoje wiersze, potem nastąpiła dyskusja. Wiersze były o Pałacu Kultury, o budownictwie socjalistycznym, a jeden — o winośnię. Widać że autor ma talent i chociaż temat ujmuje inaczej niż ja (bardziej od różni producentów), to przecież są szniry między poezją a prozą. W dyskusji złośliwie objechali chłopaka, a jeden członek koła powiedział nawet, że ma „gdzieś” (przepraszam Cię za ten wulgaryzm, ale tak powiedział!) zebranie koła, na których co tydzień czyta się bzdury sentymentalno-optimistyczne. Nic z tego nie rozumiem, bo przecież jeśli chodzi o mnie — to właśnie najdotkliwiej odczuwam brak optymistycznego spojrzenia na życie.

Druga rzecz — to kobiety. Wiesz siostrzyczko, jak mało mnie one obchodzą od czasu, gdy odeszła Małgorzata... Jeszcze nie mogę się z tamtego wydobyć i tu na pewno nie zwróciłbym uwagi na dziewczęta, gdyby nie brak Twojej dobrej, troskliwej opieki.

Tutaj spotkałem się ze specjalnym typem Kobiety — jak to nazywałem — Literackiej. Chociaż (wiesz o tym dobrze) w literaturze mało działa kobiet, to w Klubie jest kobiet nawet więcej niż mężczyzn.

Każdy młody ma „swoją” kobietę, nie przez długi zresztą, jak się zorientowałem, czas. Ale to już raczej wina kobiet. Wywodzą się one przede wszystkim z Akademii Sztuk Plastycznych, co łatwo poznać bo mają uczesania à la Ingrid Bergman i noszą wielkie bambusowe (zdaje się) kosze zamiast torebek. Także z „mojej” polonistyki widziałem tu parę „obięktów”. Jest ich dużo, ale żadna z nich nie zwraca na mnie uwagi, **bo nie mam nazwiska...** Napisz mi Zochna trochę dobrych, ciepłych słów...

A trzecia rzecz — to osobista: narzeczcie znowu piszę. Zetknąłem się na uczelni z bardzo ponurą sprawą (jakby „po linii” wymagał Stójczarski) — otóż pewna studentka usiłowała popełnić samobójstwo, ponieważ zaszła w ciążę, a wtedy „on” (student z prawa) rzucił ją, oświadczając, że ma kogoś innego, z kim związał się równie poważnie. Niedośła samobójczyni pochodziła ze środowiska mieszczańskiego, ale mnie skojrzyła się historia Barbary S. z naszego B. — pamiętasz? — tej córki kolejarza i napisałem już prawie nowelkę o tamtej, chociaż Basia nie była na studiach. Chciałem jakoś wydobyć moment zetknięcia się zdrowej moralnie dziewczyny z mieszczańskim światem. **Na razie jestem z noweli zupełnie zadowolony.**

Cieszę się, że potrafiłaś okiełznać Zendeck. Czy tacie przeszedł ból kolana?

Bardzo, bardzo całuję

Twój Paweł

*

Warszawa kwietnia 1954

Siostrzyczko moja!

Wyczuwam, że zaczyna się tutaj dżiać coś dziwnego, ale jeszcze nie wiem co. Opiszę Ci tylko symptom.

A więc byłem na zebraniu pomyślnych sekcji poezji i prozy w Związku Literatów (oczywiście dorosłych). Mówiono o osiągnięciach literatury ostatnich dziesięciu lat. Było bardzo ciekawie, burzliwie, ale jakoś zanadto się wszyscy śmiali.

Koczanek — wiesz, ten od „Dachów i podziemi” — wystąpił przeciw

jakimś „lykawym”, którzy według niego „rozłożyli polską poezję”. Na sali krzyczano: „Precz z lykawymi!” ale później wystąpił jeden poeta, młody — nie wiem jak się nazywa — i powiedział, że Koczanek wierzga, a sam nie lepszy, bo tych powieściowych „produkcyjniaków” masy pracujące mają po dziurki w nosie. Na to Koczanek, że wszystkich „lykawych” powinno się wysłać do krajów demokracji ludowej na studia, to by dopiero powstała prawdziwa poezja — w kraju. Wszyscy chichotali i bili brawo.

Siedziałem obok Podgajniaka i zapytałem go, kto to są „lykawi”. Powiedział, że chodzi o grupę młodych — Skoroszyskiego, Feleriana, Blaua. Wyobraź sobie! Ludzi, których wiersze tak chętnie czytaliśmy, bo przecież były to wiersze o naszych, ludzkich sprawach, próbują teraz publicznie atakować...

Nie mogłem wytrzymać i zabrałem głos. Powiedziałem jak kolejarze naszego b-gardzkiego węzła zachwycałi się wierszami Skoroszyskiego, jak serdeczne listy pisali do Blaua. Sam nie wiem jak zdobyłem się na odwagę takiego wystąpienia. Na sali była wyjątkowa cisza, tylko słyszałem jak się wszyscy pytają: „co to za jeden?”



wiesz, studiuje w Pradze) mają zabronić prawa powrotu do kraju. To okrutne, prawda, Zosienko?

Boję się, bardzo się boję. Za kilka dni będę Ci już mógł napisać coś pewniejszego.

Jestem teraz mniej samotny. Wyobraź sobie, że mam Kobiętę Literacką. Po moim wystąpieniu na sekcji w Klubie, sama się zgłosiła. Józek Podgajniak kpi, że postanowiła zaryzykować, bo — w istocie — nie jeszcze sobą nie przedstawiam. Moja Celestyna ma grzywkę i koszyk. Jest miła, a o literaturze gada same głupstwa, ale ostatecznie „całuje się przecież usta, nie słowa, które z nich wychodzą” (to nasz uroczy Colas Breugnon). Piszę Ci o tym dlatego, że Cię moje „kobiece” znajomości na pewno interesują (**Taty możesz nie wlać jenniczać!**). Dużo Ci, Zochna, zawdzięczam. Jak sobie przypominę Twoje wykłady o przewrotności niewieściej (ale skąd Ty o tym wszystkim wiesz, Boże drogi...), to wyjaśnienia o wpływie „Duszy zaczarowanej” na młode panny — to zaraz mam portret mojej Celestynki. Chodźmy razem do kin i do teatrów. Poznaję Warszawę.

I jeszcze jedno. Po tej całej sesji ukazał się numer „Nowej Sztuki” z wierszami, **których sensu w ogóle nie**

mogę pojąć. Napisz, Kochanie, co według Ciebie oznacza taki np. utwór:

„Poeta to na pewno ktoś
Słuchajcie głosu poety
Choćby ten głos
Był cienki jak włos
Jak jeden włos Julietty

Jeśli się zerwie włoszek ten
to nasza nudna kula
upadnie w ciemność
Czy ja wiem
albo się zbłąka w chmurach

Słyszycie Czasem wisi coś
na jednym włosku wisi
Dziś włoskiem tym poety głos
Słyszycie
Ktoś tam słyszy?”

*

Warszawa, kwietnia 1954.

Siostrzyczko!

Zdaje mi się, że słusznie zinterpretowała wiersz, który Ci przesałem. Piszesz: „Na pewno chodził poecie o to, żeby go ktoś słuchał, być może jakaś określona instytucja. Zastanawiałam się tylko co znaczy, że „nasza nudna kula upadnie w ciemność”. Prof. Szatan, wiesz — są poloniści — powiedział, że są to młodopolskie elementy katastrofizmu...”

Widzisz Zochna, z Tobą można i o literaturze pogawędząć. A z Celestyną... Cenię w niej jednak to, że jest szczerą i nie udaje jakoby ją książki obchodziły, a zwłaszcza moja proza. Byliśmy w „Kameralnej” — to taki dancing...

Dziś już wszystko wiadomo, ale ja wciąż niewiele rozumiem. Ostatni numer „Wzglądu Kulturalnego” zawiera wszystkie materiały z tej właśnie sesji. Przesyłam Ci ten numer, to się zapoznasz, i może coś więcej zrozumiesz.

Mówili tam, że trzeba zacząć nawać nowe wino w stare dzbany (to taka przenośnia), że dosyć komendowania artystami i mówili też czego nie oznacza realizm socjalistyczny. W kogo główny atak, tego nikt jeszcze nie wie, nawet towarzyszy Ferment zbył mnie jakoś dziwnie.

Każdy tylko mówi, że jest **nowy kurs**.

Podobno otworzyli „Café Chantant”, w którym Sokarska występuje nago. Nie wierzę w to. Celestyna ma się postarać o zaproszenie przez SARP. Piesko drogi wstęp, ale za parę dni — stypendium. Opiszę Ci wszystko szczegółowo.

Wyszedł nowy numer „Nowej Sztuki” i znów są dziwne wiersze: Bardzo Cię proszę, Siostrzyczko, **przyslij mi moją żółtą tezkę (oznaczona numerem „4”, w szafie na dole)**. Są tam te moje niezrozumiałe wiersze z roku 1952. Spróbuję zanieść do „Nowej Sztuki” — może teraz pójdą.

Bardzo mi się podobała Twoja rada, że skoro nie orientuję się w tym całym mętliku, to żebym poszedł do kilku osób, pogadał. Pójdę jutro.

Twój Paweł

P. S.

Wiadomości o zlikwidowaniu Związku Literatów — to plotki. Powiedział mi tak towarzyszy Ferment.

*

Warszawa, maja 1954.

Zosiu!

Jest cudowna wiosna i chętnie bym Ci napisał o Warszawie, ale szczerze mówiąc absorbują mnie inne sprawy. Trochę też przygotowuję się do egzaminów wstępnych.

— Widzę, że się, kolega, nasłuchał tych różnych rzeczeń ideologicznych. A to przeważnie źli ludzie, idący na ugodę z każdym, kto płaci. Na sesji za dużo mówiono o urzędnikach, za mało o sercu artysty. I stąd bałagan.

O jedno dba artysta: o ludzi, o naród. Sesje dobre, ferment czasem pożyteczny — ale tamto najważniejsze. A co do kursów — to u nas zawsze jeden: lipcowy.

Do „Café” z Celestynką nie pójdziemy, bo podobno jakiś aktor jest chory, ale też mówią, że w ogóle zamknęli („Café” — nie aktor).
Paweł

*

Warszawa, maja 1954.

Zosiu!

Z wierszami, któreś mi przesała, byłem dziś u pani Siemińskiej w „Nowej Sztuce”. Powiedziała, że **puści je w najbliższym numerze, że są nowatorskie formalnie i treściowo**. Zławsza podobał jej się „Kosmoryzacja”, „Czarodziejski grób” i „Czwarta kompania”.

Napisałem też wczoraj wieczorem kilka podobnych. Ciężko mi idzie po tak długiej rozłące z poezją. Ale zawsze jest to kilkadziesiąt złotych, tym bardziej, że Stójczarski nie chce drukować nowelki.

Byłem znów w redakcji „Wprost-przeciwnie” i zapytałem Stójczarskiego dość beczelnie, czy teraz, w nowym kursie nie puściłby nowelki. Ale on powiedział, że właśnie teraz, gdy troska o człowieka jest tak wielka nie czas drukować nowel o nieszcześliwej miłości, zakończonych w dodatku próbą samobójstwa.

Tę niemłą przygodę wynagrodził mi wieczór autorski, jaki odbyłem wraz z kilkoma młodymi na Uniwersytecie. Czytałem też nowelkę o której wyżej wspominałem. Cała sala słuchała — czułem to — z napięciem, a po wieczorku podeszła do mnie jakaś studentka i serdecznie podziękowała mnie osobiście. Przeżywa właśnie — jak mówiła — trochę podobną historię i moja nowelka pomogła jej jakoś zobaczyć „tamtego” gościa we właściwym świetle. Miała łzy w oczach.

Nie masz pojęcia, Siostrzyczko, jak bliscy są mi ci ludzie, to całe środowisko studenckie. Ale jeszcze bliżsi są mi b-gardzanie, biedniejsi przecież, bo tak dalecy od tego wielkiego, tętniącego miasta. Dla nich przede wszystkim chcę pisać.

Przyslij mi parę chusteczek do nosa, bo zabrałem tylko dwie. I pisz.

Paweł

P. S. Historia z „Café” też okazała się lipna. Pójdziemy po pierwszym,
P.

*

Warszawa, maja 1954.

Zosiu!

Nowa sensacja! Ukazał się artykuł towarzysza Fermenta przeciw „próbom wykorzystania sesji dla wstecznych celów antyrealizmu i przeciw plotkom o jakichś nowych kursach”. U nas na Uniwersku odbyło się zebranie koła zetempowskiego. W Zarządzie są młodzi krytycy i poeci, więc na początku było przemówienie Wacia Działkosczyka (to taki krytyk) na temat sytuacji w naszej kulturze — w duchu artykułu towarzysza Fermenta.

Na sali nikt nie wiedział o co chodzi, bo nasi poloniści ani „Nowej Sztuki” ani „Wzglądu” nie czytują. A Waciu bardzo ostro zagaja. Niestety, ludzie najpierw się dziwili, a potem wcale nie słuchali.

Ja się zresztą też dziwiłem, bo to co Waciu mówił było bardzo proste i oczywiste.

Za to w Klubie — gdy tylko przyszedł — zawołał mnie do swego stolika pan Pan, siedzący z panem Żegotą.

— Widzisz, przyjacielu — powiedział pan Pan — już „odkręcają” Sesję.

— Trzy dni cała wolność trwała — dodał pan Żegota. Postawił mi też małą czarną. Pan boi się, że jednak „Siedemdziesiątka” jest za odważna.

Byłem wczoraj w mieszkaniu u towarzysza Fermenta i opowiedziałem mu perypetie z „Wprost-przeciwnie”. Śmiał się i nie kazał martwić. Powiedział, żeby zebrał swoje nowelki, to mi pomoże złożyć i wydać **tom w „Czytelniku”**. I to jak najszybciej.

Bardzo mu dziękowałem, a on rzekł na pożegnanie:

— Pisz. Pawełku, pisz, o nic się nie martw. Wychowano cię w nowej szkole, sumienie masz czyste, słuchaj co ci podpowiada. Nawet mnie nie słuchaj, tylko jego.

Podarował mi nowe wydanie „Dawida Copperfielda” — pełne, jakiegoś ani ty ani ja nie znamy.

No i najważniejsze, Zochna: za parę dni, na początku czerwca wpadnę do domu. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Ale będziemy gadać!

Tymczasem całuję Ciebie i tatę

Paweł

P. S.

Nie zdziwicie się, jeżeli przyjedzie ze mną Celestynka. Obiecała wygrać ze dwa dni z swojej sesji egzaminacyjnej. Na pewno ją, Siostrzyczko, polubisz.

P.

*) Zdania i wyrazy zaznaczone przez nas tłustym drukiem są w tekście Pawła podkreślone. T. S.



KIERMASZ

książki naukowej

Sesja — a tu w POPROSTU kiermasz książki. Co to ma ze sobą wspólnego? Czy tylko tyle, że jedno i drugie wypada mniej więcej w tym samym czasie? Przecież teraz każdy z nas myśli przede wszystkim o tym, aby jak najlepiej zdać egzaminy. Przysiadamy więc faldów (jak ta koleżanka na zdjęciu poniżej) i po raz ostatni wertujemy różne skrypty i podręczniki...

Otoż to — skrypty i podręczniki. Właśnie teraz,

w gorącym okresie sesji, najlepiej wiemy w jakim stopniu pomagają nam one przez cały rok, co w nich było dobre a co złe, czego nam brakowało. I dlatego właśnie teraz, korzystając z kiermaszu książki, warto odwiedzić stoisko Państwowego Wydawnictwa Naukowego (na zdjęciu z prawej); warto dowiedzieć się o tym, co już wyszło, a co wnet wyjdzie, i w ogóle jak jest z tym wydawaniem skryptów i podręczników.

Tysięczny skrypt i co dalej



tyczna tysiąca skryptów PWN-owskich wskazuje na nie zawsze równomierne zaspokajanie potrzeb różnych kierunków studiów. Sposród tysiąca skryptów ok. 40 proc. przypada na kierunki techniczne, 20 proc. na ekonomiczne, 16 proc. na rolnicze, 12 proc. na różne dziedziny studiów uniwersyteckich.

Kierunki techniczne i ekonomiczne otrzymały już skrypty do przedmiotów podstawowych i obecnie w coraz większym stopniu wydaje się dla nich pozycje specjalistyczne. Trochę gorzej było w dziedzinie skryptów dla kierunków rolniczych, gdzie likwiduje się jeszcze braki w przedmiotach podstawowych (brakuje np. fizyki dla rolników). Ostatnio jednak PWN pracuje bardzo intensywnie nad przygotowaniem nowych pozycji z zakresu rolnictwa.

Największe pretensje do wydawnictwa mogą mieć jeszcze studenci uniwersytetów. Dotyczy to w szczególności wydziałów humanistycznych, którym — może z wyjątkiem studiów prawniczych — brakuje wciąż jeszcze skryptów z przedmiotów podstawowych z dziedziny filozofii, filologii, historii, dziennikarstwa, pedagogiki itd. Wydawnictwo natrafia tu na niemałe trudności, których nieraz nie jest w stanie po-

Trzy lata temu, w czerwcu 1951 roku, Państwowe Wydawnictwo Naukowe przelożyło wydawanie skryptów dla szkół wyższych. Uczelnie i instytucje, które po- przednio wydawały skrypty, nie mogły oczywiście zaspokoić potrzeb studentów w takim stopniu, jak jest to możliwe w specjalnie w tym celu powstałej centralnej placówce.

PWN rozpoczęło swoją działalność skryptowo — wydawniczą pracą K. Wyki „Zarys współczesnej literatury polskiej” (niestety, dawno już wyczerpaną), a przed kilku tygodniami ukazał się tysięczny z kolei skrypt: „Obróbka i obrabiarki drewna” T. Orlicza. Ale nie ta liczba jest najistotniejszym osiągnięciem wydawniczym. Oprócz troski o coraz lepsze ilościowe zaspokojenie potrzeb poszczególnych uczelni wydawnictwo starało się również o podnoszenie zarówno poziomu naukowego skryptów, jak i ich techniczno — wydawniczego wykonawstwa.

Równocześnie niemal z jubileuszowym skrypsem otrzymaliśmy pierwsze skrypty PWN wydane nie w formie powielanej (jak dotychczas), lecz drukowane, zewnętrznie nie różniące się od normalnych podręczników. A rzecz w tym, że nie tylko zewnętrznie. Okazało się bowiem, że drukowana forma skryptów stała się narzędziem w walce o coraz wyższy poziom naukowej wartości skryptów (ich autorzy czują się bardziej zobowiązani wobec słowa drukowanego). W chwili obecnej przeszło jedna trzecia PWN-owskiej produkcji skryptów ukazuje się w formie drukowanej i procent ten stale rośnie. Witamy tę innowację wydawniczą z prawdziwym zadowoleniem, również dlatego, że łatwiej nam uczyć się ze skryptów drukowanych: są one bardziej czytelne (wyraźny druk i ilustracje) no i wygodniejsze w użyciu (mniejszy format).

Wróćmy jednak do sprawy ilości. Czy nasze potrzeby są już wystarczająco zaspokajane? Analiza tema-

IŁOŚĆ KSIĄZEK WYDANYCH PRZEZ PWN W POSZCZEGÓLNYCH DZIAŁACH NAUKI

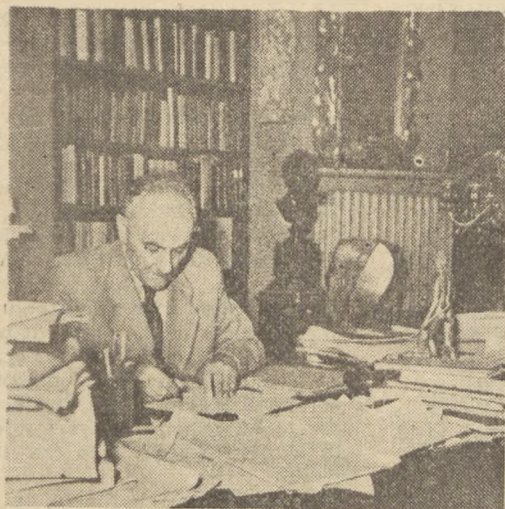
	1951	1952	1953	1954
Filozofia	—	1	8	11
Historia	1	4	33	19
Filologia polska	1	2	3	14
Filologia obca	1	2	9	13
Prawo	—	7	9	7
Ekonomia	5	1	3	5
Matematyka	1	7	5	15
Fizyka	—	4	12	10
Chemia	—	9	12	16
Geografia	—	1	3	3
Biologia	2	8	20	15
Inne	—	—	29	75
RAZEM	11	46	146	203

Plan na rok 1955 przewiduje ponad 400 pozycji.

kończ. Rozwój nowej, marksistowskiej wiedzy humanistycznej dokonuje się powoli i potrzebne są poważne wysiłki badawcze oraz wiele pracy odkrywczej zanim u autorów dojrzyje koncepcja i treść skryptu.

Ale i w tej dziedzinie są pocieszające wieści. Obecnie np. szeroki zespół naukowców intensywnie pracuje nad podręcznikiem do historii literatury polskiej (który w pierwszej wersji ukazuje się jako skrypt), podobnie prowadzone są prace nad podręcznikiem — skrypsem do historii Polski. Przygotowuje się również wydanie skryptu z historii literatury powszechnej XIX wieku,

Tam, gdzie powstaje książka



wanie uniwersyteckiego podręcznika „Historii nauki ekonomicznej”. Poza tym obecnie profesor zajmuje się w dalszym ciągu historią polskiej myśli ekonomicznej, która dotychczas była niemal nieznaną, a nadto że interpretowaną. M. in. nieznane jest szczególne interesujące zagadnienie polskiego merkantylizmu. W dalszych planach — prace o ewolucji polskiego języka ekonomicznego od XVI do XVIII w. I projekt wydawnictwa pt. „Źródła do dziejów polskiej myśli gospodarczej”.

Zyczymy więc profesorowi Lipińskiemu dalszych sukcesów w pracy naukowej.

Jednym z wielu naukowców wydających swe prace w PWN jest prof. dr Edward Lipiński — członek tytularny PAN. Odwiedzmy go w jego gabinecie, gdzie wśród tysięcy książek powstają nowe dzieła. Pierwszą powojenną pracą prof. Lipińskiego dotyczyła marksistowskiej teorii ekonomii i historii polskiej myśli ekonomicznej. I tak m. in. powstały prace o wartości użytkowej w systemie Marksa, o przedmiocie ekonomii politycznej i obiektywności praw ekonomicznych oraz prace o poglądach ekonomicznych Ostroroga, Modrzewskiego, Opalińskiego, Kopernika, Kołłątaja i in. Szczególnie wiele czasu zajęło profesorowi przełomowanie III tomu „Kapitału” oraz pracy Marksa „Przyczynki do krytyki ekonomii politycznej”. Obecnie prof. Lipiński kończy opracowy-



A tu drukują się nasze skrypty. Przy maszynie rotaprintowej R-30 widzimy właśnie ob. Stefana Spiewaka, jednego z produkcyjnych maszynistów warszawskich Zakładów Produkcji Skryptów. Foto — A. Musiał

„Elementy nauki pedagogicznej”, całą serię skryptów dla studiów dziennikarskich, dalsze pozycje cyklu skryptów pt. „Historia powszechna dramatu i sceny” itd.

Miejmy więc nadzieję, że najbliższy okres czasu przyniesie szybsze i szersze niż dotąd zaspokojenie naszych potrzeb. Jakkolwiek jednak zaspokojenie tych potrzeb będzie coraz lepsze — ilość skryptów wydawanych przez PWN... z roku na rok będzie malała. Bo chociaż dziś skrypty dla wielu z nas stanowią jeszcze podstawową pomoc w nauce — z roku na rok stopniowo zastępować je będą podręczniki i książki pomocnicze.

Studentom, jak dotychczas, działalność PWN znana jest przede wszystkim od strony skryptów. Obok tego jednak — a właściwie przede wszystkim — PWN zaspokaja potrzeby wydawnicze szkół wyższych i nauki polskiej wydając podręczniki i inne książki naukowe. W zakresie produkcji książek PWN zaspokaja głównie potrzeby nauk humanistycznych i matematyczno — przyrodniczych. Liczba książek wydanych przez PWN rośnie szczególnie szybko (patrz tabela).

Mimo to potrzeby w dziedzinie książki naukowej ciągle jeszcze są niedostatecznie zaspokajane. Tu bowiem w znacznie większym stopniu niż przy skryptach, trzeba brać pod uwagę postulat opracowywania podręczników zgodnie z założeniami metodologicznymi marksizmu, z najnowszymi planami nauczania.

W swoich planach PWN stawia sobie za zadanie wydawanie marksistowskich prac naukowych ze wszystkich dziedzin wiedzy, a w szczególności prac młodej kadry naukowej. Redakcja PWN kładą szczególny nacisk na wydawanie prac omawiających zagadnienia filozoficzne poszczególnych nauk, co ma doniosłe znaczenie w walce światopoglądowej toczącej się w naszej nauce. Dlatego też obok książek PWN wydaje zeszyty naukowe zawierające przekłady najcenniejszych prac postępowych uczonych danej gałęzi wiedzy, ze szczególnym uwzględnieniem dorobku nauk radzieckiej. Od połowy roku będą się ukazywać zeszyty ekonomiczne, filozoficzne, historyczne i językoznawstwa.

Książki, które ukazują się z inicjatywy wydawnictwa, przechodzą przez szereg opinii fachowców lub nawet przez dyskusje naukowe w zainteresowanych instytucjach. Plany podręczników akademickich opierają się na konkretnych potrzebach i są zatwierdzone przez specjalną Sekcję Rady Głównej Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego (plany skryptów opracowują poszczególne uczelnie).

Przy ustalaniu planów wydawniczych PWN zależy na współpracy z młodzieżą studencką. W tym celu w najbliższym czasie PWN dostarczy Kółom Naukowym na poszczególnych wydziałach swój plan wydawniczy i plan prac redakcyjnych. Będziemy więc mogli zapoznać się z tymi planami i wyrazić w stosunku do niego swoje uwagi i postulaty.

DARIUSZ FIKUS

Studenci mają głos

PWN i geofizyka

Chętnie zabieram głos w sprawach skryptów, tym bardziej, że zachęca nas do tego PWN. Łączność między studentami a wydawnictwem jest nie tylko pożądana, ale wprost konieczna. I bardzo zdziwiłem się, gdy przeczytałem, że organizowane przez PWN spotkania ze studentami nie dochodziły do skutku. Nie mogę uwierzyć, że studenci nie interesują się problemem skryptów tak istotnym w ich codziennej pracy. Na mój wydział wiadomość o takich spotkaniach jak dotąd nie dotarła.

Jako geofizyk chciałbym zabrać głos z zakresu mej specjalności. Mam na myśli skrypt prof. Stenzy „Wstęp do geofizyki”. Jestem szczególnie wdzięczny, że w ogóle udało mi się ten skrypt dostać. Mam jednak pewne uwagi pod adresem PWN.

Dlatego PWN wydaje taką pozycję w tak znikomym nakładzie (600 sztuk, czy też „Ziemia” tegoż autora — 1000 sztuk)? Przecież są to prawie jedyną pozycję w literaturze polskiej z tej dziedziny, które ukazały się w ciągu ostatnich półwiecza. Nie więc dziwnego, że zdarzają się takie wypadki: wczoraj ukazał się skrypt, a dziś już nakład został wyczerpany.

Mamy więc żal przede wszystkim do PWN. Wydawnictwo stoi na

błędym stanowisku, że należy zaspokajać jedynie bieżące zapotrzebowania. PWN winno się przeciwieście liczyć z tym, że przyjdą nowi studenci, którzy będą chcieli kupić daną książkę czy skrypt w następnym i przyszłych latach, a jest rze-

czą wątpliwą czy podręcznik ten będzie wznowiony w tym czasie. I dlatego też wydanie 600 egzemplarzy skryptów z geofizyki jest chyba pomyłką.

JOZEF STAJNIAK
Uniwersytet Warszawski

Filologowie czekają

Gdy studenci filologii niemieckiej, angielskiej czy francuskiej czytają w POPROSTU rubrykę „O podręcznikach, skryptach i wydawnictwach naukowych”, coraz częściej zbiera im się na płacz. Co tydzień bowiem mogą przekonać się, iż PWN zupełnie o nich zapomniało. Nie można przecież uważać za dowód pamięci dwóch czy trzech pozycji z gramatyki i językoznawstwa.

O ile poloniści mogą czerpać wiadomości z nowych podręczników, czy z prasy literackiej, to słuchacze filologii obcych nie mają takich źródeł i na każdym kroku napotykać przeszkody nie do przebycia. Bogata literatura, jaką mamy do dyspozycji, pochodzi bądź z XIX wieku, bądź z pierwszego ćwierćwiecza XX stulecia. Najnowsze opracowania, jakimi dysponują germaniści, pochodzą z okresu panowania hitlerizmu — komentarze

z książką — stale jesteśmy blisko problematyki naukowej, centralnych problemów metodologicznych i badawczych różnych dziedzin nauki.

Mieć dobrze zorganizowany warsztat pracy redakcyjnej to znaczy — orientować się w postępie badań w dziedzinie swojej specjalności

ci, znać podstawowe publikacje z tego zakresu oraz zasadnicze prace metodologiczne, wiedzieć, jak udoskonalić swoją znajomość języka polskiego, jego stylistyki, składni, a nawet gramatyki i interpunkcji. (Ileż kłopotu sprawia nam nieraz jeden malutki, wydawałoby się mało ważny — przecinek).

Przystępując do redagowania jakiejś pracy staramy się najpierw zebrać jak największy materiał — zorientować się możliwie najdokładniej w literaturze przedmiotu, poznać w miarę możliwości inne prace danego autora oraz przestudiować prace metodologiczne traktujące o tej dziedzinie wiedzy. Dzięki temu przygotowaniu pracując nad rękopisem autorskim operujemy już pewnym zasobem pojęć, terminów i danych faktycznych, co jest koniecznym warunkiem efektywnej pracy redaktora. Odrębną dziedziną pracy redaktora stanowi opracowywanie przypisów, indeksów, słowniczków trudniejszych pojęć itp.

Opracowując objaśnienia do określonego wydarzenia historycznego czy zjawiska społecznego musimy umieć swobodnie posługiwać się książkami pomocniczymi, encyklopediami, słownikiem filozoficznym, słownikami językowymi, atlasami. Ten etap pracy redakcyjnej — podobnie zresztą jak i wszystkie — wymaga niezwyklej uwagi, precyzji i dokładności.

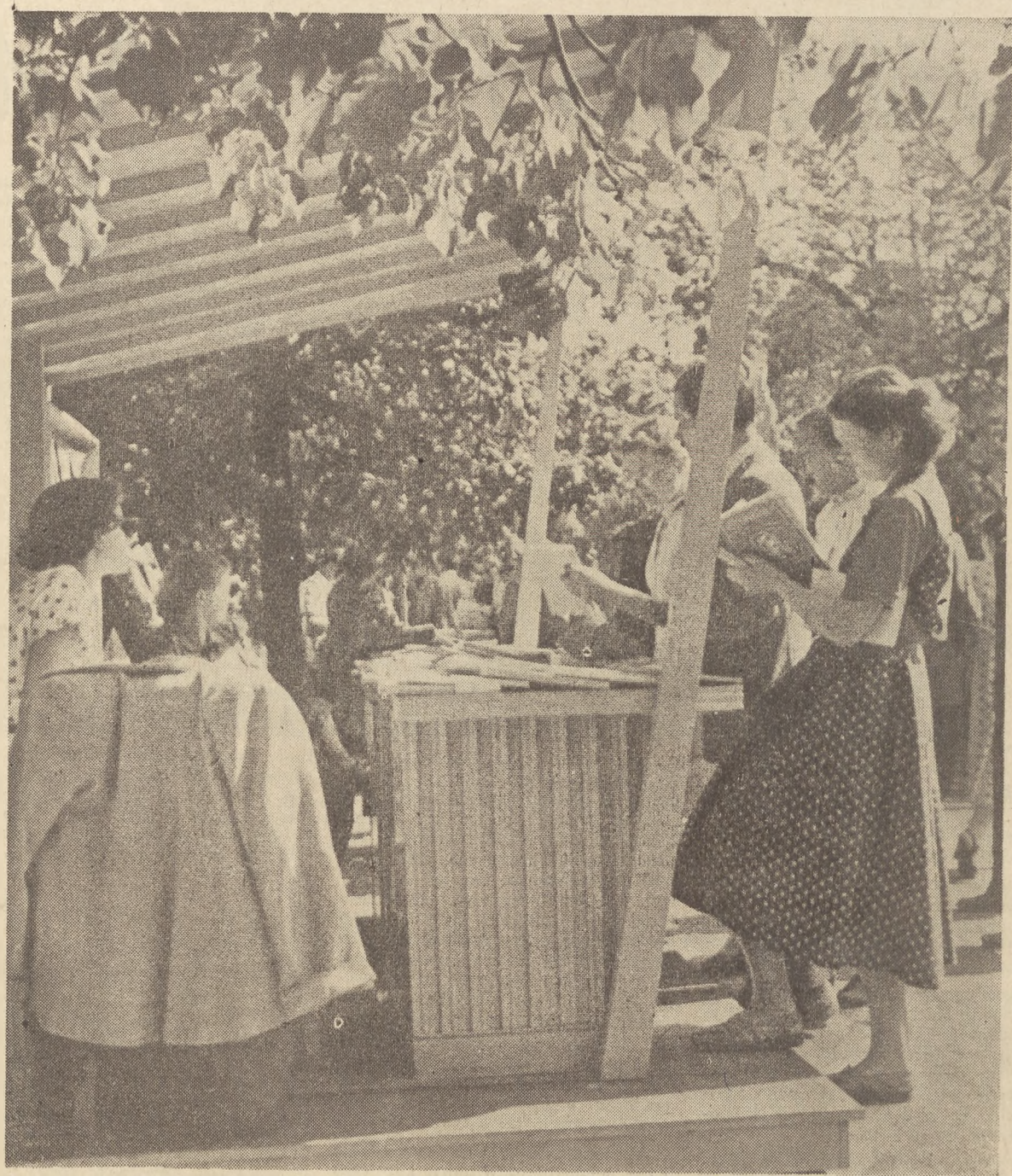
A wielki problem koncepcji edytorskiej? Po pierwszym zapoznaniu się z całością pracy, przystępując do procesu jej redagowania musimy ustalić i przyjąć z góry jakieś założenia edytorskie. W pierwszej chwili może ktoś pomyśleć, że przecież o wartości książki nie decydują takie na pozór drobne sprawy, jak np. układ tekstu lub to, czy tytuły cytowanych książek damy w cudzysłowie, czy wyróżnimy kursywą, czy numeracją odnośników jest kolejna w obrębie całego rozdziału czy tylko na danej stronie. Jednak biorąc pod uwagę całość książki nie są to ani drobne, ani tym bardziej błahe sprawy.

Te bowiem elementy między innymi warunkują czytelność książki, przejrzystość i celową prostotę jej układu — estetykę książki. Często przecież mówimy: „jak to jest ładnie wydane” albo „co oni z taką interesującą pracą zrobili...”

Ci „oni” to właśnie wydawcy — redaktorzy i edytorzy.

MARIA OFIERSKA
Państwowe Wydawn. Naukowe

W NASTĘPNYM NUMERZE dokonamy nasz kiermasz książki naukowej zapowiedzią NAJCIEKAWSZYCH POZYCJI które ukaza się nakładem PWN



Z warsztatu mojej pracy redakcyjno-wydawniczej

Każdy z nas czytał w swoim życiu wiele różnych książek. Najpierw były to książki naszego dzieciństwa — bajki, potem powieści dla młodzieży, później pierwsze zetknięcie się z prawdziwą książką dla dorosłych, odurzenie poezją, pierwsze przeżycia z książką naukową, a jeszcze później dobrze nam znane podręczniki akademickie. Z tymi ostatnimi związane są nasze dobre lub przykre wspomnienia egzaminów, seminariów, pierwszych samodzielnych prac, pierwszych „twórczych” wzruszeń.

Czy kiedykolwiek zastanawialiśmy się jednak nad tym, jaką drogę przeszła książka od rękopisu autorskiego aż do tej postaci, w jakiej ją otrzymujemy? Powszechnie wydaje się, że każdy fragment książki, każdy jej szczegół jest ostatnim słowem jej zasadniczego twórcy — autora. A przecież rozmowę autora z czytelnikiem dzieli ważny i skomplikowany proces wydawniczy.

W ostatnim okresie moich studiów na UW wiele myślałam o pracy w wydawnictwie. Nie bardzo jednak wiedziałam, jaka będzie istota mojej pracy i wynikające stąd obowiązki. Pracę w wydawnictwie — bezpośredni kontakt z książką — uważałam jednak za tak frapującą, że... odważyłam się.

Dziś, po prawie dwóch latach pracy, ciągle jeszcze doskonale pamiętam ten „historyczny” dzień zawar-



cia znajomości z jedną z humanistycznych redakcji Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Praca redakcyjna — zwłaszcza w wydawnictwie typu naukowego — pozwala mi na samodzielne kontynuowanie studiów, na pogłębianie i rozszerzanie zainteresowań naukowych. Dzięki możliwości uczestniczenia w sesjach, konferencjach, w wykładach na uniwersytecie, dzięki stałemu kontaktowi z uczelniami, instytucjami naukowymi i naukowcami a przede wszystkim dzięki bezpośredniemu kontaktowi

z książką — stale jesteśmy blisko problematyki naukowej, centralnych problemów metodologicznych i badawczych różnych dziedzin nauki.

Mieć dobrze zorganizowany warsztat pracy redakcyjnej to znaczy — orientować się w postępie badań w dziedzinie swojej specjalności

ci, znać podstawowe publikacje z tego zakresu oraz zasadnicze prace metodologiczne, wiedzieć, jak udoskonalić swoją znajomość języka polskiego, jego stylistyki, składni, a nawet gramatyki i interpunkcji. (Ileż kłopotu sprawia nam nieraz jeden malutki, wydawałoby się mało ważny — przecinek).

Przystępując do redagowania jakiejś pracy staramy się najpierw zebrać jak największy materiał — zorientować się możliwie najdokładniej w literaturze przedmiotu, poznać w miarę możliwości inne prace danego autora oraz przestudiować prace metodologiczne traktujące o tej dziedzinie wiedzy. Dzięki temu przygotowaniu pracując nad rękopisem autorskim operujemy już pewnym zasobem pojęć, terminów i danych faktycznych, co jest koniecznym warunkiem efektywnej pracy redaktora. Odrębną dziedziną pracy redaktora stanowi opracowywanie przypisów, indeksów, słowniczków trudniejszych pojęć itp.

Opracowując objaśnienia do określonego wydarzenia historycznego czy zjawiska społecznego musimy umieć swobodnie posługiwać się książkami pomocniczymi, encyklopediami, słownikiem filozoficznym, słownikami językowymi, atlasami. Ten etap pracy redakcyjnej — podobnie zresztą jak i wszystkie — wymaga niezwyklej uwagi, precyzji i dokładności.

A wielki problem koncepcji edytorskiej? Po pierwszym zapoznaniu się z całością pracy, przystępując do procesu jej redagowania musimy ustalić i przyjąć z góry jakieś założenia edytorskie. W pierwszej chwili może ktoś pomyśleć, że przecież o wartości książki nie decydują takie na pozór drobne sprawy, jak np. układ tekstu lub to, czy tytuły cytowanych książek damy w cudzysłowie, czy wyróżnimy kursywą, czy numeracją odnośników jest kolejna w obrębie całego rozdziału czy tylko na danej stronie. Jednak biorąc pod uwagę całość książki nie są to ani drobne, ani tym bardziej błahe sprawy.

Te bowiem elementy między innymi warunkują czytelność książki, przejrzystość i celową prostotę jej układu — estetykę książki. Często przecież mówimy: „jak to jest ładnie wydane” albo „co oni z taką interesującą pracą zrobili...”

Ci „oni” to właśnie wydawcy — redaktorzy i edytorzy.

MARIA OFIERSKA
Państwowe Wydawn. Naukowe

Przed letnim rejssem

Porywa tu przede wszystkim — ogrom. Ogrom terenu, ogrom hal, ogrom dźwigów i budujących się statków. Ludzi z daleka niedostrzeżesz, wydaje się — giną w przegromnym labiryncie. Oczywiście złudzenie. Wejdźmy bowiem w oszklone hale.

Pod dachami płyną suwnice przynosząc stopy stalowych płyt. Z kabin wyglądają dziewczęta w kolorowych chusteczkach. Na dole kierują ich ruchami suwnicowi w czerwonych czapkach. Wyją tokarki, skwierczą wiertarki, huczą ciężkie młoty kowali i dzwonią małe młoteczki traserów. Błyskają palniki spawaczy i topi się metal pod strumieniami płonącego acetyleny. Przy każdej maszynie ludzie — młodzi chłopcy w kombinezonach.

Na pochylniach z rusztowań obudowy jak z kokonu poczwarki wyłaniają się kształty statków. Tu sponad stępki snuje się dopiero siatka wręgów, tam wznosi się bure pudło z rozdartą jeszcze dziobnicą, dalej kształtny już kadłub pokryty równo płatami poszycia obleka się w czerwoną minie, a przy nabrzeżu w kanale lekko kołysze się niedawno zbudowany statek, na którego pokładzie uwijają się monterzy i cała rzesza robotników wyposażenia. Niedługo przyjdzie nań załoga i wypłynie z kanału na szerokie wody Zatoki i dalej przez Bałtyk na oceany.

Zaledwie kilka lat temu załoga była biała - czerwona bandera na pierwszym naszym rudowęglowcu. „Soldka” budowano około półtora roku. Dziś były traser, inżynier Stanisław Soldek i setki młodych spawaczy, niterów, techników i mistrzów budują kadłub w cztery miesiące, skracając o 60 dni zaplanowane terminy.

Zespół ZMP-owca, mistrza Krzeczowskiego, buduje obecnie tramp, którego wodowanie ma się odbyć w trzy miesiące i 20 dni od chwili położenia stępki.

A przecież ludzi nie przybyło, bo na przykład jeden z działów produkcji, gdzie pracowało 1200 robot-



Żałoga Stoczni Gdańskiej — to w przeważającej części młodzież. Na zdjęciu: Młodzieżowy zespół monterów maszynowych mistrza Kurka na jednym ze „swych” statków.

ników zatrudnia obecnie tylko ośmiuset.

Przecież niezbyt wielu mamy starych fachowców, bo na przykład ostatnio wodowano jednostkę, której budowniczym był chłopak urodzony w 1933 roku.

Ale rzućmy okiem do jednego z numerów gazety zakładowej — „Głosu Stocznio-wca”. Oto zespół kadłubowców młodego mistrza W. Końskiego — brygada im. „Młodej

Gwardii” — postanowił wprowadzić metodę opracowaną przez inżyniera W. Polka, a polegającą na samowystarczalności zespołu. Po prostu zamiast brygad spawaczy, wiertaczy, monterów itd., stworzono jeden zespół, do którego wchodzi rozmaici fachowcy. A wynik tego rodzaju metody — znaczne skrócenie cyklu i podniesienie jakości produkcji.

Wstąpmy na chwilę do Zarządu Zakładowego ZMP. Sekretarka opęda się właśnie przed natarcywością tow. Kaszaka, który jest przewodniczącym na jednym z oddziałów. Co jest powodem ich kłótni? — A bo widzicie towarzyszu, mnie potrzeba 40 deklaracji członkowskich, a ona nie chce mi dać więcej jak 20!

Tak — w Stoczni Gdańskiej tylko przez pierwsze godziny budzi podziw ogrom i rozmach urządzeń. O wiele bardziej porywają ludzi Stoczni. To, że nowy kadłub buduje się trzy miesiące i dwadzieścia dni — to zasługa ludzi, stocznio-wców, którzy rozumieją po co i dla kogo budują, którzy kochają swój zawód.

Za kilka tygodni w warsztatach na pochylniach i w biurach konstruktorskich Gdańskiej Stoczni pojawiają się młodzi w studenckich czapkach — praktykanci z Politechniki i Szkół Inżynierskich.

Na Politechnice Gdańskiej przygotowuje się obecnie tematy dla praktykantów i opracowuje programy praktyk.

Tow. Augustyn — kierownik szkolenia zawodowego Stoczni zajmuje się zapewnieniem warunków

bytowych praktykantom w Domach Stocznio-wca. Stocznio-wcy gdańscy oczekują studentów i wiele spodziewają się po nich.

Choćby sprawa ruchu racjonalizatorskiego. Jest w Stoczni wielu racjonalizatorów, wspomnieliśmy tu na przykład o brygadzie Końskiego. Jednak ruch ten nie jest jeszcze zjawiskiem masowym. Praktyka młodej załogi nie jest jeszcze podbudowana teorią. I tu pole do popisu dla studentów. Trzeba na każdym oddziale uaktywnić kółka racjonalizatorów, przekonać robotnika, że jego codzienne obcowanie z maszyną ułatwia mu bardziej niż inżynierowi zastanowienie się nad jej ulepszeniem, nad usprawnieniem cyklu pracy. Oni posiadają praktykę, studenci — teorię. Połączenie jednego z drugim powinno dać wiele cennych usprawnień i ożywić ruch racjonalizatorski wśród młodych stocznio-wców.

Ilość wypadków w Stoczni jest jeszcze znaczna. Najczęściej winę za ten stan rzeczy ponosi średni nadzór.

Zadaniem praktykantów będzie zapoznanie średniego nadzoru i robotników z wymogami bezpieczeństwa pracy, przekonywanie, że przepisy BHP — to nie utrudnienie pracy, a troska o zdrowie i życie robotników. Chodzi przecież o to, aby punkty opatrunkowe Stoczni zaświeciły pustkami i aby w jej łoskot nie wdierała się syrena Pogotowia Ratunkowego.

Na Politechnice Gdańskiej przydziela się praktykantom zadania zetem-powskie. Pracy społecznej w Stoczni nie brakuje. Trzeba pomóc zaktywizować życie kulturalne i sportowe.

Do Stoczni oprócz studentów Politechniki Gdańskiej przyjeżdża sporo ilość praktykantów z Politechniki Śląskiej, Wrocławskiej i Warszawskiej. Dobrze by było, gdyby Zarządy Uczelniane ZMP tych uczelni porozumiały się z Zarzędem Zakładowym Stoczni co do form współpracy.

Spotyka się jeszcze w Stoczni ludzi, zwłaszcza spośród nadzoru technicznego, którzy gdy wspomnieć o praktykantach uśmiechają się ironicznie i przypominają fakty z ubiegłych lat, kiedy to studenci znikałi ze stanowisk pracy, ginęli gdzieś na rozległym terenie. Ogar-nia uczucie wstydu, które jest tym dotkliwsze, gdy widzi się ogromną ofiarności z jaką pracuje młoda załoga.

Zarząd Zakładowy ZMP wybrał jednego ze swych aktywistów — tow. Gudzińskiego, który z ramienia organizacji będzie się opiekował studentami, będzie kontrolował kierownictwa poszczególnych wydziałów, by jak najwłaściwiej rozdzielały praktykantom pracę.

Żałoga Stoczni oczekuje, że studenci dorównają jej ofiarnością w pracy, że naprawdę pomogą.

Już za kilka tygodni

Już za kilka tygodni z dziesiątków dworców kolejowych setki pociągów roz-wiozą we wszystkie strony naszej pięknej ziemi ojczyściej tysiące studentów. Ich rozradowane sukcesami całorocznej pracy twarze spotykać będziemy przez okres miesięcy letnich w każdym zakątku naszego kraju. Około 13-tysięcy studentów skorzysta z różnorodnych form bezpłatnych wczasów. Jedną z najbardziej atrakcyjnych form wypoczynku będą wędrowki kajakowe i żeglarskie.



Włec popłynemy raz jeszcze W ten kraj jezior tysiąca Aby użyć swobody Wiatru, wody i słońca.

Foto CAF



Wędrowki żeglarskie mają to do siebie, że dają okazję nie tylko do spraw-dzenia siły mięśni, do wyrobienia ich sprawności, lecz umożliwiają także prowadzenie ciekawych dyskusji, a nawet taki luksus jak kąpiele toalety nóg... przy dźwiękach akordeonu.

Foto A. Ryttei



Tegoroczne spływy kajakowe szlakami Wisły, Drwicy i Noteci, będą nie mniej atrakcyjne od spławu Dunajcem, który widzimy na zdjęciu.

Foto W. Werner



Wędrownie obozy kajakowe i żeglarskie. w przeciwnieństwie do obozów pleszych będą całkowicie samodzielnie zaopatrywały się w żywność i przygotowywały posiłki. Ich uczestnicy będą więc mogli wykazać swe zdolności aprowizacyjne i kulinarne, które podobnie jak możliwości konsumpcyjne podczas wędrowek są nieograniczone.

Foto A. Ryttei

POPROSTU pomogło

„Droga Redakcjo!

„W związku z moim listem w sprawie trudnego położenia materialnego moich rodziców otrzymałem od Ciebie pismo wraz z odpisem pisma KW PZPR w Lublinie.

Dziękuję Ci redakcjo za zainteresowanie się sytuacją moich rodziców i skuteczną interwencję. Fakt ten sprawił, że moje zaufanie do Ciebie stało się uprost nieograniczone i postanawiam pisać do Ciebie o wszystkich osobistych troskach oraz o wszelkich sprawach naszego życia studenckiego, gdyż wiem, że zawsze pomożesz.

Łączę wyrazy uznania”.

STANISŁAW WINNICKI
Poznań — Winogrody

„W związku z Waszym pismem w sprawie artykułu o wyborach TPPR na wydz. filologii komunikujemy co następuje:

Dnia 4. V. br. odbyło się rozszerzone zebranie Zarządu Wydziałowego ZMP, na którym została omówiona praca TPPR. Aktyw ZMP-owski: przewodniczący kół, organizatorzy grup oraz instruktorzy ZW ZMP na poszczególne kółka zostali zobowiązani do udzielenia pomocy kołom TPPR.

*

Na artykuł pt. „Brrr... zimno”, zam. w 18 (284) n-rze naszego pisma otrzymaliśmy z Dyrekcji ZO A następujące wyjaśnienie:

„Dyrekcja Zarządu Ośrodków Akademickich jak co roku tak i obecnie wydała polecenie Ekspozyturom ZO A aby niezwłocznie przystąpiły do konserwacji i remontu instalacji c.o. oraz urządzeń do ogrzewania wody, jak również remontu otworów okiennych i drzwiowych celem utrzymania i zabezpieczenia właściwej temperatury pomieszczeń w DS w okresie zimowym.

Jedziemy na żniwa

Zbliża się koniec roku akademickiego — już niedługo po dobrze zdanych egzaminach rozjedziemy się w różne strony. Opustoszeją mury wyższych uczelni i Domy Studenckie. Wielu z nas weźmie udział w studenckich brygadach żniwnych, pojedzie pomóc PGR w walce o wysokie urodzaje. Praca za żniwiarką czy przy stawianiu snopków pozwoli odpocząć zmęczonym całoroczną nauką i egzaminami umysłom, a jednocześnie pomoże zebrać zboża z PGR-owskich pól.

Ochotników jest wielu. Oto co na ten temat piszą nasi korespondenci:

Kolega JERZY PIOTROWSKI z SGSZ — Warszawa podaje:

„W tym roku na brygadę żniwną z SGSZ pojedzie 295 studentów. Najwięcej zgłosiło się z lat pierwszych — 150. Pozostali zaś — to studenci z lat drugich i trzecich — oraz 20 osób z kursu magisterskiego. Dużą pomoc w werbunku do brygad okazali nam uczestnicy brygad z lat ubiegłych, którzy mówili o warunkach pracy, zarobkach itp.

Studenci naszej uczelni jadą na brygady do województwa szczecińskiego i olsztyńskiego. Już w tej chwili są wybrani odpowiedzialni za każdą grupę w ilości 20 osób. Staramy się, aby była to grupa studentka, której łatwiej będzie pracować. Niektóre grupy odbyły nawet zebrań. Celem tych zebrań jest zorganizowanie pracy w bry-

gadzie oraz wykorzystanie doświadczeń lat ubiegłych. Np. uczestnicy brygad z II r. wydziału dyplomatycznego - konsularnego omówili formy pracy kulturalnej w PGR, wydawanie gazetek ściennych, „Błyskawic” no i przede wszystkim organizację prac w polu. Podobnie dzieje się na innych latach, gdzie studenci zapoznają się z materiałami II Zjazdu, układają programy artystyczne ze szczególnym uwzględnieniem osiągnięć grup z czasu eliminacji. KU ZSP — oddaje do dyspozycji uczestników wszystkie instrumenty muzyczne”.

*

Kol. KAZIMIERZ KURZAWA z WSP Kraków donosi:

„Najaktualniejszą sprawą na krakowskiej WSP było ostatnio zawodnictwo w zgłoszeniach na akcję żniwną. Po ogłoszeniu przez KU ZSP terminu wyjazdu do brygad pierwszy odpowiedział 1 rok historii.

Oprócz lat trzecich z wszystkich pozostałych napłynęło szereg zgłoszeń. I tak z polonistyki zgłosiło się 35 osób, z filologii rosyjskiej 20, z historii 23 osoby, z geografii i matematyki po 17, z fizyki 22.

Zgłoszenia do KU ZSP napływają w dalszym ciągu.

Pracownicy naukowcy WSP również zadeklarowali swój wyjazd na akcję żniwną”.

*

Informacja kol. JANA KITY z WSP w Warszawie brzmi:

„Ci studenci, którzy nie jadą na praktyki pedagogiczne, pojadą na żniwa do PGR woj. szczecińskiego i olsztyńskiego. Z naszej uczelni pojedzie ochotniczo ponad 130 chłopców i dziewcząt, studentów I i II roku. Pod względem ilości zgłoszeń przodują sekcje: filologia rosyjska i matematyka.

Nasza praca w brygadach żniwno - omlotowych stanowić będzie dużą pomoc dla rolnictwa”.

*

I wreszcie korespondencja kol. MIECZYSLAWA KABAJA z WSE Stalinogród:

„Młodzież WSE żyje obecnie nie tylko sprawami sesji i egzaminów. Niedługo rozpoczyna się żniwa i studenci zgłaszają się licznie do brygad żniwnych. Pierwsi zgłosili się aktywiści, organizatorzy grup studenckich, członkowie KU ZSP i ZU ZMP.

Dobra praca i przykład aktywu dał rezultaty. Z I roku wydziału finansów zgłosiło się 85 studentów. Podobnie jest na innych latach. W sumie do chwili obecnej zgłosiło się 235 studentów. Akcja trwa dalej.

Za kilka miesięcy studenci WSE pojadą na wieś polską i wrocławską. Pojadą nie tylko po to, aby dopomóc w pracy, lecz również po to, aby wyjaśnić chłopom politykę naszej partii, aby w piosence, wierszu, książce pokazywać piękno naszego życia”.

?

Mieszkańcy „Dому Młodego Naukowca” przy ul. Polnej 50 zapytują Ekspozyturę ZO A w Warszawie, dlaczego dotychczas nie jest czynna winda, która „przekazana została do użytku” razem z budynkiem?

Dużo już było w tej sprawie interwencji, a jeszcze więcej obietnic — lecz rezultatów żadnych.

Czy winda została zainstalowana dla dekoracji?



Sport



Snort



Sport



Snort



Sport



Świetny rzut dyskiem studentki AWF



Podczas międzyszkolnej Spartakiady AZS w Warszawie uzyskano szereg dobrych wyników. Na czoło wybija się wynik kol. Heleny Kozłowskiej, która rzuciła dyskiem 43,25 m. Należy podkreślić, iż jest to najlepszy wynik osiągnięty w kraju po wojnie. Oczekujemy, że kol. Kozłowska już wkrótce z powodzeniem zaatakuje rekord Polski z roku 1932, należący do Wajsbury — 46 m 22 cm.

Godne wyróżnienia są także rezultaty w trójskoku: kol. Tymosiewicz — 13,70 m i kol. Sowy — 13,47 m oraz wynik kol. Kurasia w biegu na 1500 m — 3:59,4. Wszyscy wyżej wymienieni są studentami Akademii Wychowania Fizycznego. (Foto Fronckowiak)

5 dni pod koszem

(Dokończenie ze strony 1)

koczyki" przegrały z Wrocławem 43:45 i z Warszawą II 44:49. Ale wtedy nastąpił przełom. Basia Stepniak wyrwała bójący ząb, Marta Zariczna zaplotła warkocz w kok, Ania Berdel zjadła po raz pierwszy cały obiad, trener zorganizował naradę w... Ogrodzie Zoologicznym i po południu poznanianki zeszły z boiska pokonane w stosunku 34:17. W następnym meczu różnica jednego punktu zadecydowała o zwycięstwie nad Toruniem — walkower od zdekompletowanej Warszawy i dopełnił sukcesu: krakowianki zdobyły III miejsce. Jest to wielki sukces trenera Jacka Arleta, który oprócz umiejętności koszykarskich wpoił swoim wychowankom prawdziwą sportową dyscyplinę. Od kapłana zespołu Jadzi Styrny do najmłodszej Ewy Scheybal (raz tylko z czegoś tam niezadowolonej) wszystkie zawodniczki Krakowa wyróżniały się wzorowym zachowaniem i postawą godną sportowca.

Niespodzianką nr 2 grupy żeńskiej była rezerwowa drużyna AWF, występująca jako Warszawa II. Zespół złożony również z młodych zawodniczek posiadała w swym gronie utalentowaną Janinę Chłodzińską, która oprócz wzrostu 1,83 m posiadała niezawodne strzały i doskonałe refleksy w grze. Przeciwnikiem Niny, jeżeli chodzi o wzrost, jest Basia Polakiewicz. Nie ma chyba więcej niż 1,50 m, ale szybkością i wyskokiem wprowadzała w zdumienie widzów i przeciwników.

Gdy na korty AZS przyszła wiadomość, że na stadionie przy ulicy Puławskiej Poznań wygrał z Warszawą, nikt nie chciał wierzyć. Nawet podany przez megafon wynik



Przyjrzyjcie im się dobrze... To popularne „warkoczyki” z Krakowa, najmłodsza drużyna turnieju — zdobywczyni trzeciego miejsca w zawodach o Akademickie Mistrzostwo Polski. Na razie wszystkie oprócz Basi Seichter (nr 5) i... trenera Jacka Arleta mają po 16 lat. Kto wie czy po dojściu do pełnoletności nie zasila reprezentacji Polski?

Foto A. Zboron

uważano za omyłkę — wszystkim wydawało się niemożliwością pokonanie 59:45 pierwszoligowców przez A-klasową drużynę. Tak jednak było. Pierwszy dzień rozgrywek przyniósł drużynie poznańskiej początek wielkich sukcesów, których ukoronowaniem było zdobycie tytułu akademickiego wicemistrza Polski. Tylko toruniakom udało się pokonać Poznań — inne zespoły przegrywały i to nieraz bardzo wysoko. Gdańszczanie zeszli z boiska pokonani różnicą 11 punktów, a Warszawa I przegrała aż piętnastoma. To były prawdziwe sukcesy. Nic też dziwnego, że poznaniancy po wręczeniu nagród długo podrzucali w górę swojego trenera i kapitana drużyny Czarneckiego.

Może będą mieć żal koszykarze Torunia, którzy przecież zdobyli zaszczytny tytuł mistrza, że powiemy o nich mniej niż o pozostałych. Uważamy jednak, że dla drużyny Olszewskiego i Sarbinowskiego, która została w całości powołana do kadry AZS, wystarczą szczerze gratulacje i życzenia dalszych nie mniejszych sukcesów.

W grupie męskiej zakwalifikowały się również do finałów AZS AWF i AZS Gdańsk. Drużyny te zdemontowały grę na wysokim poziomie. W drużynie Gdańska najlepszy był: wschodniak Stahr i dobry strzelec Filipiak.

W czasie przebiegu mistrzostw słyszało się wiele utyskiwań pod adresem organizatorów. Były niedoścignięcia, to prawda. Ale trzeba przyznać, że organizatorzy, choć w bardzo szczupłym składzie, starali się jak mogli. Był to ich pierwszy poważny egzamin przed mistrzo-



Jeszcze piętnaście sekund do końca meczu. Toruniacy (w ciemnych koszulkach) prowadzą z Poznaniem 74:71. Zdobyczą jeszcze jednego kosza i nikt im już nie odbierze tytułu Akademickiego Mistrza Polski w koszykówce na rok 1954.

Foto A. Zboron

stwami letnimi i na pewno wyciągną ze swych błędów odpowiednie wnioski. Zgryzoty były wywołane przede wszystkim słabym sędziowaniem i niepunktualnością sędziów. Ale to nie usprawiedliwia zawodników Warszawy I, którzy pozwolili sobie w czasie spotkania z Poznaniem na głośne uwagi pod adresem prowadzących zawody.

ANDRZEJ GABRYS

Nasi profesorowie

SPORCIE

Krakowskie Przedmieście. Sprzed Uniwersytetu odjeżdża w stronę Alei „125”. Stojący nieopodal pan żegna się ze swą uroczą towarzyszką i wskazuje do odjeżdżającego autobusu. Po chwili jest już w środku. To wicedyrektor Instytutu Badań Literackich — prof. UW dr JAN KOTT.

Widząc równy, spokojny oddech profesora myślę o jego doskonałej kondycji. Korei mniej żeby zacząć rozmowę o sporcie.

— Czy wie pan panie profesorze co to jest bramka?

— Jeszcze ciebie na świecie nie było jak ja chodziłem na mecze piłkarskie — uśmiechając się mówi profesor i dodaje: obecnie jeszcze „uprągam” turystykę, szczególnie lubię wspinaczkę wysokogórską. Zimą jeżdżę na nartach chociaż rezultaty w ostatnim sezonie były dość opłakane, bo... skróciłem nozę.

— Pamiętam doskonale panie pro-

fesorze: przyszedł pan na któreś seminarium opalony, ale kulejący.

— Żeby wyczerpać temat — mówi prof. Kott — to pływam, a jak byłem w twoim wieku, grałem w tenisa, zresztą bez większego powodzenia. Za to ping-pongowi pozostałem wierny do dziś. Często chodzę na mecze bokserskie, ale sam nigdy nie walczyłem. Lubie patrzeć na walkę pięści kiedy sam jestem bezpieczny.

Chciałbym się jeszcze dowiedzieć o związku turystyki z twórczością literacką bo profesor — wybitny krytyk literacki i teatralny — nawet w swych pracach naukowych jest przede wszystkim pisarzem. Przypomniało mi się, że jeden z jego esejów jest zatytułowany „Wakacje z Sainte-Bauvem”. Chce spytać gdzie profesor spędzał wakacje, ale mój rozmówca zaczyna się gwałtownie przeciwstawić do przodu i pokazując na zegarek mówi:

— Wybac, ale jestem umówiony, rozmawiał ANDRZEJ DOBOSZ

Notes SPORTOWCA AZS

● Akademickie Mistrzostwo Polski w siatkówkę męską, które odbyły się w Poznaniu, zakończyły się zwycięstwem AZS Głiwice. Drugie miejsce zajął AZS Wrocław przed AWF Warszawa.

Wśród kobiet bezapelacyjne zwycięstwo odniosła drużyna AWF wygrywając wszystkie spotkania. Drugie miejsce zajął AZS Gdańsk, trzecie AZS Kraków.

● Zarząd kola AZS przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie zorganizował Uczelnianą Spartakiadę Włosieną.

W punktacji ogólnej Spartakiady prowadzi wydział historii 84 pkt. przed filologią 80 pkt.

● W Toruniu odbyła się i Uczelniana Spartakiada UMK.

W konkurencjach lekkoatletycznych uzyskali następujące wyniki:

MEZCZYŻNI: 100 m Izbauer — 11,2 sek. 800 m Soboczyński — 2,06,1 min.

Sztafeta 10 x 400 m wydział mat-fiz. 10:24,5 min. Skok w dal Goralczyk 6,29 m.

Rzut granatem Glomp — 59,80 m. Tor przeszkód Pinkiewicz — 57,2 min.

KOBIETY: 100 m Janowska — 13,3 sek. 400 m Krzyżosiński — 1:09,8 min.

Sztafeta 10 x 100 m wydz. biologii — 2:37,4 min. Skok w dal Kociolowicz — 4,09 m. Rzut granatem Olbert 38,20 m.

Tor przeszkód Janowska — 46,6 min. W punktacji ogólnej Spartakiady I miejsce zdobyli studenci wydziału matematyczno-fizycznego przed wydziałem biologii i studium przyrodniczym.

W gimnastyce UMK w Toruniu, spotkali się ze swymi kolegami z WSE Poznań. W punktacji indywidualnej zwyciężyła Bandt UMK Toruń przed Izborską i Tomaszewską Poznań. W szóstceboju meczysty zwyciężył Zakrzewski Poznań przed Cembrowskim i Furdyną Kraków. Zawody wygrali studenci WSE Poznań.

● Poważnym sukcesem w umasowieniu sportu na naszych uczelniach zajęła się Spartakiada AGH w Krakowie. Dzięki dobrze zorganizowanej pracy kola AZS udział w Spartakiadzie wzięło ok. 4 tys. studentów tej uczelni.

Pobito prawie wszystkie zeszłoroczne rekordy uczelni oraz zdobyto wiele klas sportowych i norm SPO. G — II klasy sportowe, 26 — III, 73 normy SPO II stopnia i 2234 normy SPO I stopnia.

niał. W klasyfikacji wydziałowej zwyciężyła wydziałowa geologia przed wydziałem ceramicznym i górniczym.

Na podkreślenie zasługują rezultaty kol. Hylińskiego w rzucie dyskiem 43,01 m oraz w kul 12,85 m.

● W Głogowie zakończył się Okręgowy Mistrzostwa AZS w lekkoatletyce. Pionem mistrzostw było zwycięstwo 31 klas sportowych w różnych konkurencjach. Najlepszy wynik zawodów ustanowił kolega Netzi w rzucie oszczepem osiągając odległość 47,32 m. Na wyróżnienie również zasługuje wynik kol. Okraszewskiej w rzucie dyskiem 32,17 m oraz kol. Pyszczyk w kul 11,97 m.

● W Gdańsku odbyły się Akademickie Lekkoatletyczne Mistrzostwa Wybrzeża. Pierwsze miejsce zdobyła uczelnia Wyższa Szkoła Ekonomiczna Sopot przed Politechniką Gdańską i Akademią Medyczną. Szczegółowe wyniki Mistrzostw przedstawiają się następująco:

MEZCZYŻNI: 100 m Graniczny — 11,2 sek. 200 m Graniczny — 23,8 sek. 400 m Wataia — 55,6 sek. 1500 m — Musiał — 4:06 min. 3000 m Garnkowski — 9:16,14 min. 5000 m Garnkowski — 16:17,4 min. 110 m przez płotki Pazderski — 16,2 sek. 200 m Jegorow — 27,4 sek. 400 m Pazderski — 60 sek. Skok w dal Okonski 6,58 m. Wyższy Kundo — 175 cm. Tyczka Kaczmarek — 3,40 m. Trójskok Deorowicz — 12,88 m. Kula Deorowicz — 11,37 m. Dysk Listewnik — 38,86 m. Oszczep Rusin — 44,26 m.

KOBIETY: 100 m Szulc — 13,4 sek. 200 m Szulc — 27,8 sek. 400 m Brzezka — 64 sek. 800 m Brzezka — 2,38 sek. 80 m przez płotki Bartkowska — 15 sek. Skok w dal Szulc — 4,82 m. Kula Lorencik — 10,43 m. Oszczep Kupka — 22,47 m. Dysk Harmacinska — 24,91 m.

● Na tradycyjnym lekkoatletycznym „czwartku” w Poznaniu kol. Stawczyk uzyskał na 200 m najlepszy tegoroczny krajowy wynik 22,0 sek., a sztafeta akademików 4 x 100 m w składzie Solarz, Adamski, Oziemiński i Stawczyk osiągnęła czas 43,0 sek.

Oprac. na podstawie korespondencji Adama Klimonczyka — Kraków, Stanisława Lewandowskiego — Głogów, Juliana Woźniaka — Sopot ZA

Tak wygląda po tamtej stronie

Spotkania pod osłoną policji



Władze policyjne w Chicago otrzymały polecenie wysyłania na wszystkie odbywające się w mieście i okolicy spotkania studentów drużyn koszykarskich — silnych oddziałów policji.

Czyżby chodziło o zapewnienie godziwej rozrywki policyjnym lamigatnom, czy też o propagandę wśród nich tej dyscypliny sportu?

Wyjaśnienie dało popularne a reakcyjne pismo „News Week”. Krok władz spowodowany został wzrastającą ilością awantur i skandalami na boiskach sportowych w czasie rozgrywania meczów koszykarskich przez drużyny wyższych uczelni USA.

Ogromna ilość chuligańskich wybryków i bójek zarówno policyjnych jak i grupowych, pomiędzy graczami wyjątkowo, bądź z gościnnym udziałem widzów — te fakty same przez się nie wywołały tak energicznej reakcji ze strony władz amerykańskich, pobłażliwych na ogół dla podobnych przejawów temperamentu. Ale przy okazji awantur zdarza się, że ulegają uszkodzeniu lub zniszczeniu urządzenia stadionów.

— O, przepraszam, co to, to nie! Szkoła materialna — zabraniam! Policja!!!

Jeż.

pokrzywy

LESZEK SKRZYDŁO

Występ solowy aktywisty kulturalnego

Konferansjer: A teraz kolega Wielbłąd celem dania przykładu innym wykona arie z kurantem ze „Straszego Dworu”.

(Wchodzi kolega Wielbłąd trochę nieśmiało. Widać, że brak mu oglady scenicznej. Przybiera operową postawę, wciąga parę razy powietrze do płuc, przestępuje z nogi na nogę, chrząka).

— E, bo to wszystko dlatego, że ja takim straszonym aktywistą nie jestem. Prawdziwy aktywista, jak mówi Jacek, musi jeść i spać w swoim miejscu pracy, gwiźdać na swoje zdrowie i na rozrywki. Ja tego jeszcze nie potrafię, ale działa się już po tej linii. Dawniej miałem trudności z zaplanowaniem sobie czasu na najbliższy tydzień. Teraz już tego nie odczuwam.

W poniedziałek godz. 20. Zebranie wydziału poświęcone nieudanej wieczornicy. We wtorek — zwerbować przy pomocy Komisji Dyscyplinarnej kilku ludzi do chóru.



Poniedziałek, godz. 19 „Imieniny Pana Dyrektora”. Godz. 19 w ten sam poniedziałek: zebranie wydziału w sprawie zorganizowania dyskusji nad sztuką, „Pan Dyrektor” musi poczekać...

Wtorek godz. 18.30 — spotkanie z Zosią; godz. 19 — zebranie kolektywu w sprawie nagłej. (Zosia przestała mnie znać).

Sroda godz. 20 „Trudna miłość” w Bałtyku. Tu niestety żadnego zebrania nie było i ze smutkiem poszedłem do kina. A szkoda... Zawiesz w tych godzinach pouczam innych, jak organizować kult-pocho- dy na imprezy kulturalne. I tak się ciągnie, ciągnie... A propos ciągnie — będę śpiewał arie z kurantem. (Wysuwa pierś do przodu, milczy, patrzy w górę, wrzeszczy mówi).

Bo o cóż chodzi? — Jesteśmy w dobie, kiedy każdy coś powinien robić. Tylko to nie taka prosta sprawa. Mój brat magister napisał

podręcznik z pedagogiki. Bardzo uczona i mądra książka, ale jego kilkuletni syn chce założyć brygadę chuligańską na swojej ulicy. Tata pisze mądre książki o wychowaniu, a synek szuka metod wychowania na swojej ręce. Co innego teoria, a co innego praktyka. To samo jest i ze mną.

Bo na tej kulturze — to się człowiek trochę zna. I zebranie kolektywu organizuję i ludziom pracę przydzielam i przekonam niektórych o konieczności pracy kulturalnej. To się zawsze zrobi. Ale ja mam jeszcze zwierzchników. I ci zwierzchnicy powiedzieli mi, że powinienem raz przestać gadać i coś pokazać. Kazali mi zaśpiewać na jakimś występie. Mnie! Solo!

Thumaczyłem im, że to niemożliwe, bo słuch straciłem słuchając współczesnej polskiej muzyki symfonicznej, a głos straciłem na zebraniach. Powiedzieli, że tylko jedna rzecz jest niemożliwa na świecie — zorganizowanie na naszym Uniwersytecie dobrego zespołu artystycznego. No i przekonali mnie.

A więc „Aria z kurantem”. („Wysuwa pierś do przodu, patrzy w górę, z trudem wydobywa z siebie pierwsze słowa arii”) „Cisza dokola, noc jas...”

— Nie, nie mogę śpiewać — w tej chwili odbywa się 47 z kolei narada aktywistów na temat zorganizowania pięciu produkcyjnych zespołów chóralnych na naszym Uniwersytecie. Ja tam muszę być. Ciąłem jestem tu, a duchem tam. Zmontujemy jednak chyba ciałem z duchem? Bardzo przepraszam, ale muszę.

(Kłania się w pośpiechu i wychodzi).

(Tekst zespołu satyrycznego — UL)

MAREK BŁIGO

Żle się bawicie

W grudniu 1954 r. (data nie jest omyłką), do sołtysa wsi Muchówka pow. bocheńskiego wpadł chłopak 10-letni z krzykiem:

„Uciekajcie, studenci jadą, będą kręcić głowę jak zawsze”. Sołtys chciał się przeźornie skryć, ale nie zdążył, studenci byli tuż.

Przywitał się, a nawet uśmiechał się grzecznie. Cóż miał robić biedak?...

Studenci rozejrzeli się po izbie, usiedli i zaczęli gadkę... Chcieli właśnie powiedzieć po co przyjechali, gdy nieoczekiwanie znalazł się sufler.

— Chcecie nam pomóc — powiedział chłopak — Sołtys uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem.

Studenci byli stropieni, ale nie poddawali się. Chcieli się podzielić swoimi planami pomocy dla wsi, gdy znów sufler przemówił:

— Będziecie przyjeżdżać stale, pomożecie przy elektryfikacji, pomożecie kółu ZMP-owskiemu, dostarczycie odpowiednie pomoce dzieciom w szkole...

Sołtys podniósł się, by wyrzucić niesforenego chłopaka, ale nie zdążył, gdyż ten, pokazawszy studentom uprzednio swój mały złośliwy języczek, znikł.

Mimo tego drobnego, przykrego incydentu, sołtys na zyczenie studentów obiecał zwołać chłopów do świetlicy gromadzkiej na wieczór. Ale wieczorem nikt się nie zjawił.

— Obiecali być, a nie przyszli, co robić — tłumaczył się stropiony.

Jedna z dziewcząt wiejskich (nawiasem mówiąc, bardzo ładna), która umówiła się ze studentem w sprawach społecznych i osobistych też się nie zjawiła. Obiecanej furmanki nie otrzymali i trzeba było iść piechotą 7 km do pobliskiej stacji pod przejmującym, chłodnym deszczem.

*

Tak niefortunnie może się skończyć w przyszłym roku wyjazd

studentów do wsi Muchówka. Rezolutny chłopak wiejski mógłby na pewno im powiedzieć na pożegnanie, że chłopci postanowili się zabawić w studentów, konkretnie w studentów II roku fizyki WSP — Kraków.

W grudniu ub. roku studenci postanowili poważnie zająć się wspomnianą uprzednio wsią. Wyślano dwuosobową delegację, która miała się zorientować w jej potrzebach i która mając upoważnienie grupy obiecywała wszechstronną i stałą pomoc. Na tym skończyła się część poważna, i zaczęła się część niepoważna, bo studenci więcej się na wsi nie zjawiali. Zajęto się nowymi akcjami i podjęto szereg nowych zobowiązań, a o gromadzie Muchówka usiłowano zapomnieć, chociaż delegaci kol. Głowacki i kol. Rewera na zebraniach grupy nieraz przypominali o powziętych zobowiązaniach.

Co mają prawo myśleć chłopcy o takich studentach — nie trudno zgadnąć. A jak będą w przyszłości witali podobnych gości — usiłowa- liśmy wam wyżej przedstawić. Je-

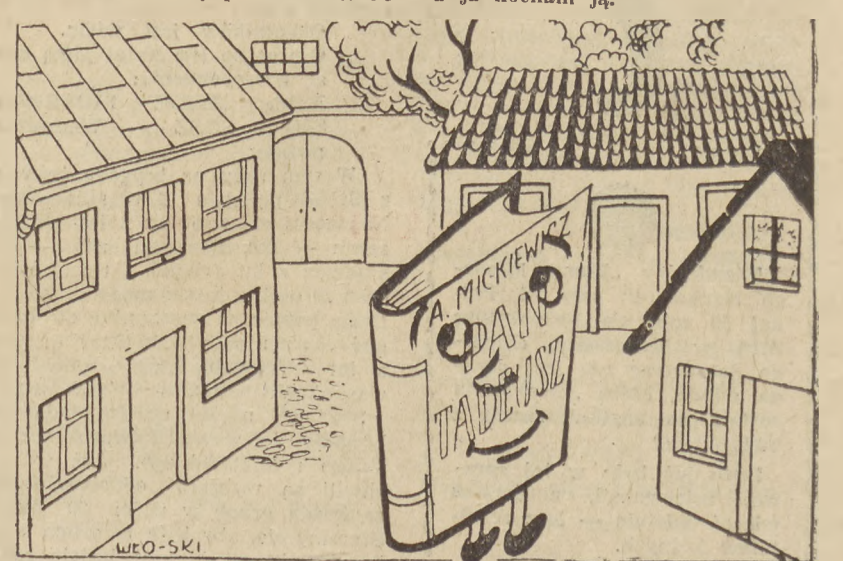
dnym słowem źle się bawicie koleg- dzy z II roku fizyki — WSP Krak- ków.

Nie wiem czy jesteście honorowe wyjątkiem z tej sytuacji. Nie ma wyjścia — potrzebny jest niestety wyjazd choćby teraz. Gdyż lepiej w czerwcu niż wcale.

(Opracowane na podstawie korespondencji kol. GŁOWACKIEGO JÓ- ZEFA WSP — Kraków).



Powiedział, że kocha literaturę, a ja kocham ją.



rys. W. Placzkowski

— Gdzie tu szukać strzechy?

Wydawca: Instytut Prasy „Czy- telnik”
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wiejska 17/1. Telefon: red- nacz. — 841 24. Centrala 832 91.
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejscu zamieszkania lub PPK „Ruch”. Kon- to PKO nr 18003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następnym. Miesięcznie zł 1 40. kwartalnie 4 20. półrocz- nie 8 40. rocznie 16 80.
Administracja: RSW „Prasa” III Delegatura Warszawa, ul. Mar- szalkowska 8 tel. 807 11.
Drukarnia: RSW „Prasa” War- szawa, Marszałkowska 3/5.
5-B-14091